

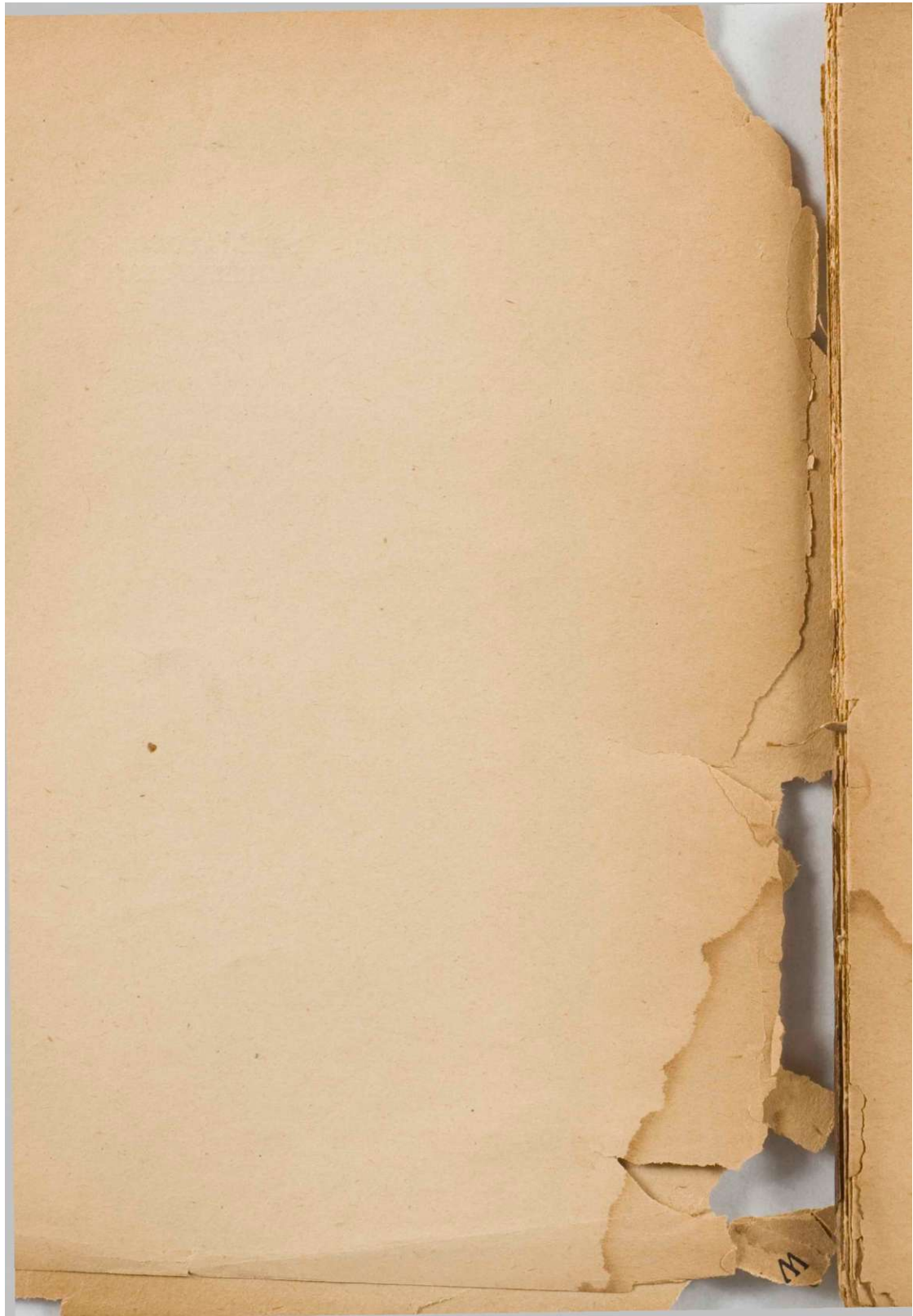
OSZ ZAGÓRSKI

SZEŚĆ TYGODNI
W CZEREZWYCZAJCE

ARSZAWA: E WENDE i S-ka



SZEŚĆ TYGODNI
W CZREZWYCZAJCE



TADEUSZ ZAGÓRSKI

SZEŚĆ TYGODNI W CZREZWYCZAJCE

WARSZAWA: E. WENDE I SPÓŁKA

POZNAŃ: FISZER I MAJEWSKI, — LWÓW: H. ALTENBERG,

TORUŃ: TOWARZYSTWO KSIĘGARNI KRESOWYCH, —

ŁÓDŹ: LUDWIK FISZER

PEOPLES BOOK STORE
KSIĘGARNIA LUDOWA
5223 CHENE ST. DETROIT, MICH.

Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza
OSRODEK
POGRANICZE SZTUK KULTUR NARODÓW
ul. Piłsudskiego 37, tel. 189
16-500 SEJN Y
skr. poczt. 15

2482 ✓

Narazie pisać o tem było trudno. Długie dni i noce, spędzone w czrezwyczajce kijowskiej, tłoczyły jak zmora. Luźne wspomnienia, oderwane od całości, tracąc swój związek z ogólnem podłożem, rwały się na zewnątrz, i chaotycznym rozgwarem zagłuszały istotę przeżyć niedawnych. Roiło się w mózgu od drobnych, szarych zdarzeń, od twarzy oprawców i ofiar, od tej piany zewnętrznej, która nie odtworzy nigdy ani kolorytu fałszywej, ani jej biegu. Cofając się wstecz, wzrok chwycił zewnętrzność przeżyć, prześlizgiwał się przez nie, lecz bał się zajrzeć w głąb otchłani. Zbyt straszne było jej oblicze...

Straszne — nie dla siebie. Skoro los zdarzył, że niebezpieczeństwo osobiste minęło, że się udało człowiekowi wyrwać z jaskini, zacierało się rychło wspomnienie groźnych oczekiwań. Przerazało co innego. Zdemaskowane oblicze bestji ludzkiej, bezmiar widzianego zła, okrucieństwa i krwiożerczości, zabijały wiarę w człowieka, bez której trudno i żyć i umierać.

Nakaz samoobrony duchowej zabraniał ogarniać myślą wspomnienia w ich barwie właściwej. Rzucanie wzroku w głąb otchłani, ponowne wglądanie się w ohydę, którą jak czeluść kryła, groziły tak bolesnem skupieniem uwagi, które utrudni, zbeszcześci dalszy bieg życia.

Ten, który z „czrezwyczajki" się wyrwie, niby łasarz, do życia powracający, długo potem nie będzie docierał dna wspomnień. Szczegółów będzie się chwycił, w nich zamknie istotność. I będzie wolał odejść myślą i czuciem najdalej.

Lecz czas zabija ostrość wspomnień. A wtedy śmielej można cofnąć się wstecz. I wtedy dopiero wspomnienia są wierne. Ich rzeczowości nie mąci chaotyczna bezpośredniość przeżywań.

* *

Dziś, gdy półtora roku minęło od opisywanych zdarzeń, mam pewność, że zdołam je ująć przedmiotowo. Mogę myśleć o tym spokojnie, jako o rzeczy dawno minionej. Jak gdybym sam w tem nie uczestniczył, a był tylko widzem.

I dlatego piszę teraz dopiero. Kosztem szczegółów, gdyż wiele z nich zatarło się w pamięci. Lecz mniejsza o nie. Zato psychologia własna przestała być nutą do minującą, ukryła się w cieniu. A na tem mi zależało. Bądź co bądź czezczycajka jest o tyle poważnem zjawiskiem z dziedziny patologji społecznej, iż należy ją traktować jak najwięcej przedmiotowo.

Spędziłem w czezczycajce kijowskiej sześć tygodni w czerwcu i lipcu 1919 roku. Skrót „czezczycajka” określa „nadzczycajną komisję do walki z kontrrewolucją i spekulacją”. Było ich dwie w Kijowie: „gubernjalna i „wszechukraińska”. W żargonie: „Gubczeka i „Wuczeka”.

W zasadzie pierwsza z nich miała rozpoznawać sprawy lokalne, druga — sprawy, mające znaczenie ogólnopaństwowe. W istocie było inaczej. Agenci i komisarze obu czezczycajek konkurowali między sobą w wyławianiu „zbrodniarzy”. Wykryte przestępstwo stawało się monopolem tych, którzy sprawę wszczęli, i zasada właściwości (jak zresztą żadna zasada) stosowana nie była.

Kto zna rosyjskie urzędy, dziwić się będzie takiej

gorliwości. Każdy urząd sili się zawsze przekazać sprawę innemu, byle się zwolnić od kłopotu. Urzędnika rosyjskiego cechuje niezłomna tendencja odpędzania się od spraw, od pracy, jak od natrętnych much.

Tu było odwrotnie. Gorliwość panów komisarzy zdumiewała. Ani jednak sumienność, ani żądza odznaczeń, lub ambicja były dla nich bodźcem. W stosunku ich do ofiar była namiętność myśliwego, który czyha na zwierza i musi go sam dobić. Był sadyzm okrutnika, który chce, który już musi, znęcać się nad ofiarą.

Złapanie kontrrewolucjonisty było dla nich przeciekiem, smakiem rozkoszy. Samą rozkoszą — jego błądliwość — przedśmiertna, jego męka śmiertelna.

Dwie „czerezwyczajki” nie wyczerpywały całego arsenału walki z kontrrewolucją. Był jeszcze tajemniczy „osobyj otdiel” (wydział specjalny), którego metody i zakres kompetencji były zupełnie te same. I nikt już nie wiedział, dlaczego określona sprawa ma być rozstrzygnięta w tym wydziale, a nie w jednej z trzech innych. Rządził przypadek. Winowajca był rzeczą niczyją, którą każdy może zawładnąć i trzymać w swych szponach aż do wyssania ostatniej kropli krwi.

Istniał pozatem trybunał rewolucyjny, o pozorach przynajmniej sądu, którego właściwość wkraczała w zakres właściwości czerezwyczajek. Zazdroszczono winowajcom, którzy zrzędzeniem losu, prostym trafem, podlegali kompetencji tego sądu. Bądź co bądź mógł się tam oskarżony bronić, bądź co bądź wysłuchiowano jego wywodów. Miał prawo mieć obrońcę. Istniało stopniowanie kar, podczas kiedy czerezwyczajka znała tylko jeden wyrok: śmierć! Więc chociaż i skład trybunału i bieg przewodu sądowego były parodią prawdziwego sądu, jednak, na tle stosunków sowieckich, stawał się on szczytem marzeń.

Traktowano, jako łaskę, jeżeli w wypadkach zupeł-

nie wyjątkowych oskarżony w niezwykle przekąsany bywał trybunałowi. Czyniono o to zawsze stara«nia, lecz nigdy prawie nie dawały one rezultatu.

Przy Ukraińsko*Sowieckim Komisarjacie Sprawie*dlowości („Narkomjust”) powołana została do życia specjalna komisja, której zadaniem było rozpatrywanie odnośnych podań. Decyzje jej miały być w zasadzie obowiązujące dla „czrezwyczajek”. Inaczej było w praktycznym zastosowaniu. Komisja uchwałała, że określona sprawa ma być rozpoznawana przez trybu?nał. Posyłała do czrezwyczajki nakaz wydania więźnia. Czrezwyczajka znała dwa sposoby reagowania na ten nakaz. Albo pozostawał on bez żadnej odpowiedzi, i sprawa szła dawnym trybem, albo więzień był nieśzwłocznie „likwidowany”, czyli zabijany, w celu uwoLnienia pp. komisarzy od nudnej, korespondencji i no*wych nawoływań. Odpowiedź była prosta: „żądanie komisji, dotyczące kontrrewolucjonisty N., nie może być wykonane, gdyż w dniu dzisiejszym więzień ten został rozstrzelany”.

Prawo ingerencji przysługiwało zresztą nie tylko komisji „Narkomjusta”. Istniał w Kijowie specjalny Komisarjat Inspekcji Socjalistycznej, który miał pełno* mocnictwa bardzo szerokie. Miał prawo zawieszać i ka*sować zarządzenia wszystkich urzędów sowieckich, nie wyłączając czrezwyczajek. Za owych czasów na czele tego komisarjatu stał człowiek względnie przyzwoity, który sprawiał wrażenie ideowego bolszewika, i sta*rał się istotnie wglądać w bezprawia i nadużycia roz*maitych dykasteryj. Inne urzędy musiały mu ulegać. Ile; kroć jednak chciał pzejrzeć akta sprawy, znajdującej się w czrezwyczajce, tyle razy rezultat bywał najsmut*niejszy. Oskarżony już nie żył.

I tu komplikowała się niesłychanie tragedia rodzin tych ludzi, którzy byli w szponach czrezwyczajek Pro«

sty instynkt nakazywał im czynić wszelkie starania, aby uratować ofiarę. Żony, matki miały przed sobą legalne sposoby obrony. Mogły kołatać do drzwi komisji „Nar_s komjusta”, do Komisarjatu Inspekcji. Nie mogły tego nie robić, gdyż nieczynność wydawała się im zbrodnią. A jednocześnie serca krwawiła świadomość, że te stania mogą dać rezultat njsmutniejszy. Rezultat wręcz odwrotny. I każdorazowo, gdy więzień ginął, nieszczęśliwa wdowa, lub matka krwawiły sobie obolałe serca przypuszczeniami, że stały się współwinne tragicznego końca.

Nie tylko oficjalna interwencja uprawnionych urzędów była często wprost niebezpieczna. Tak samo ryzykowne było zwracanie się o pomoc i ratunek do najwięcej wpływowych działaczy Sowieckiej Ukrainy. Było to zupełnie w porządku rzeczy, że do rodziny każdego z uwięzionych „inteligentów” zjawiali się natychmiast liczni przyjaciele, którzy wskazywali jedyne w swoim rodzaju, wprost niesłychane drogi do wielkich mogił ukraińskiego bolszewizmu. Zgnębiona, porwana w kleszcze groźnych przewidywań rodzina wkraczała nieostrożnie na te ścieżki. Wiodły one ku międzynarodowemu awanturnikowi bolszewizmu, Rakowskiemu, ku łagodnemu ślepcowi, Manuilskiemu, ku dogmatycznemu doktrynerowi, Szlichterowi, lub innym, mniej lub więcej przyzwoitym fantantom. I znowu rezultat był zawsze ten sam. Rabini bolszewizmu najczęściej odmawiali wszelkiej pomocy, powołując się na bezstronność i rzetelność dochodzeń w „czrezwyczajce”. Czyłi to wtedy, gdy sprawa wydawała się im poważną i mającą związek z całokształtem walki o ustrój komunistyczny.

I to był rezultat jeszcze najpomyślniejszy. Gorzej bywało, gdy ktoś z Sownarkomu kijowskiego („Sownar* kom”—(Rada Komisarzy Ludowych), szczerze zaintere*

sował się sprawą, uznał oskarżenie za bezpodstawne i zwracać się do matadorów „czrezwyczajek” z dyskretną prośbą o ostrożne potraktowanie sprawy. Natyciu miast w grę wchodziła ambicja samoistności. „Czrezwyczajka”, nie chcąc ulegać wpływom zewnętrznym, konsekwentnie likwidowała tych, którzy znaleźli protekcję sfer decydujących.

Rakowskiemu, Manuilskiemu nigdy do głowy nawet nie przyszło obrażać się i protestować. Lekceważenie ich opinii traktowali, jako rzecz zupełnie normalną i zrozumiałą. Czuli, iż władza komisji nadzwyczajnych jest silniejsza od ich władzy. Korzyli się przed nią i bali się jej.

Tak było istotnie. Władza czrezwyczajek silniejsza była od władzy Rady Ministrów Ukraińskich, ściślej—Rady Komisarzy Ludowych. Aczkolwiek ci ostatni, przez nikogo nie obrani, nasłani z góry, uzależnieni jedynie fikcyjnie od Rady Delegatów Robotniczych,—faktycznie przed nikim nie byli odpowiedzialni, — jednakże i oni korzyść się musieli przed władzą czrezwyczajek. Skąd płynęła ta władza, nikt nie wiedział. Prezesów przysyłano z Moskwy, i ci dobierali sobie zespół po długi własnego uznania i gustu. W ten sposób, na tle iluzorycznie niepodległej Ukrainy sowieckiej, czrezwyczajki były państwem w państwie, mocą samoistną, postwachem dla wszystkich, władzą bezapelacyjną. Prawo życia i śmierci obywateli państwa należało do nich wyłącznie i nie było takiej mocy, która zdołałaby się im przeciwstawić.

Rakowski, Manuilski, Zatoński i ich towarzysze pisali jakieś prawa; słowem pisanem, lecz obcym życiu, silili się życie to kształtować. A ponad nimi, gdzieś ponad prawem i normą, stała grupa pogromców, dla której nie istniały żadne przepisy i żadne nakazy. Była to jakaś moc wyższa, siła fatalna.

Idealistyczni teoretycy bolszewizmu widzieli, że konkretna działalność czerezwyczajek jest najjaskrawszem zaprzeczeniem ich hasel sztandarowych. Jednak łatwo z tem się godzili. W tym drobnym fragmencie dziejów bolszewizmu znalazło swój wyraz to wszystko, co było podłożem psychologicznem jego rozkwitu: dziś wny splot niewolniczego doktrynerstwa rosyjskiego z wschodnią bezwzględnością.

„Idealiści” czuli nawet wstręt do agentów czerezwyczajek. Widzieli w nich sadystów i degeneratów. Twierdzili jednak, że ci ludzie, moralnie nieodpowiedzialni, spełniają w rezultacie funkcję rewolucyjnie korzystną. Zabijają, niszczą wrogów rewolucji. Jeżeli z tytułu tej akcji cierpią jednostki, jeżeli wiele niewinnych żegna się z tym światem, jest to drobiazg w zestawieniu z tej mi horyzontami, które otwiera świtająca jutrznia nowego życia. Widząc dobrze, że budownictwo rajowego komunizmu jakoś się nie klei, że między hasłami a życiem przepaść rośnie z dnia na dzień, nie chcieli ci idealiści szukać przyczyny w braku pozytywnych cech swej pracy. Wmawiali w siebie i w innych, że źródło złego kryje się w istnieniu kontrrewolucji, paraliżującej pracę twórczą. Poddali się sami hipnozie tego twierdzenia, gdyż ono jedynie niosło im samousprawiedliwienie.

Gdy masy robotnicze, zwodzone obietnicami rajowego na ziemi, nabierały z dnia na dzień przeświadczenia o tem, że ustrój bolszewicki pędzi kraj cały, wraz z rewolucyjną rzeszą robotniczą, w bezdenną otchłań głodu i nędzy,—przywódcy jednym tylko argumentem umieli się bronić. Wmawiali w masy, że to mafja burżuazyjna paraliżuje normalny rozwój komunizmu. Olbrzymi spisek kontrrewolucyjny, jak sieć pajęcza, rozgałęził się wszędzie, i dopiero po jego wyplenieniu raj zapanuje na ziemi. Trudno określić, czy takie argumenty trafiały

masom do przekonania. Lecz dla przywódców były one ostatnią deską ratunku. Musieli uwierzyć w nie sam-. Krokiem następnym, już niezbędnym psychologicznie, było tolerowanie wszystkich potworności walki z kontr? rewolucją.

Przywódcy cieszyli się w duszy, że nie do nich na- leży ta czarna i brudna robota. Że jest jakaś siła obca, od nich niezależna, która ją spełnia. Mieli czyste su? mienia! Woleli oczy zamknąć na ohydę tej walki — krwawej, lecz niezbędnej.

I bali się sami tej siły obcej. Dusza rosyjska lubi się bać. Jest to jeden z jej niezliczonych paradoksów. Oni, wszechwładni, oligarchowie, gdzieś z nizin życia wyrzuceni ku szczytom, dziś upojeni złudą wszechwła? dzy, musieli bić pokłony przed jakąś siłą, poza nimi stojącą i od nich władniejszą. Nawyk niewolniczości domagał się tych pokłonów. Musieli widzieć kres wła? dzy swojej, aby ogarnąć myślą samo jej istnienie. Gdy* by nie bali się sami, przestaliby wierzyć, że ktoś inny ich się boi i przed nimi się korzy.

Rakowski wiedział, że jakieś spojrzenia czujne, wnikliwe, wiszą nad nim. Wiedział, że już nie może za- przeć się rewolucji i jej metod, gdyż grozi mu to nie* zwłoczną śmiercią. I ta świadomość, ta bezpowrotność jego linii życiowej, płynąca z zewnątrz, dawała mu roz- sęd i usuwała wszelkie wahania. Bał się zwątpić, nie mógł się cofnąć, więc trwał.

Łacis, Peters i inni kierownicy „czrezwyczajek" ro? zumieli dobrze ten strach przed nimi. I grali na nim. Był on jedynym lecz wszechmocnym ich atutem. Szcze* izyli kły. Wiedzieli, że w strachu przed nimi cała ich potęga. Nie tyle nawet w strachu szerokich mas, ile w strachu przywódców bolszewizmu. Z efronterją cynicz? ną podkreślali zawsze, że nic im do iRakowskich i Marnu ilskich, gdyż każdego z nich mogą w każdej chwil- roz?

strzelać. Lubili tem się chwalić na każdym kroku. I chętnie manifestowali, iż wstawiennictwo filarów komunizmu nie jest dla nich miarodajne. Manifestowali to czynnie, kosztem życia tych ludzi, dla których rodzajU ny wystarały się z trudem o wpływową protekcję.

Nieograniczona władza „czrezwyczajek” miała jedi nak swe naturalne granice. Były to granice większych ośrodków miejskich. Szalała ich pomsta w Kijowie, Charkowie, Odesie, Winnicy, w kilku innych miastach. Broniły ich nietykalności wyćwiczone oddziały komu? nistyczne o żelaznej dyscyplinie, trzymane w ryzach terrorem i wódką, siecią szpiegostwa wewnętrznego i doskonałym odżywianiem. W głąb prowincji nie się? gała ta władza. Sama nazwa czrezwyczajek wywoływa_s ła odruch żywiołowego protestu wśród szarych mas wło? ściańskich. W ruchu powstańczym na Ukrainie jednym z haseł najwięcej popularnych było hasło: „precz z czre? zwyczajkami!”.

Czynione były próby obsadzenia „czrezwyczajka? mi” wszystkich miast powiatowych Ukrainy. Próby te dały rezultaty najsmutniejsze dla odważnych komisa* rzy, którzy wyjeżdżali na walkę z kontrrewolucją do jakiejś Taraszczy lub Lityna. Niejeden życiem to prze? płacił, wielu ledwo uciekło.

Napady na czrezwyczajki powiatowe stały się zja* wiskiem tak normalnym, iż musiano zrezygnować z ich isnienia. Skasowano je wszystkie specjalnym dekretem. Motywowano skasowanie obłudnym twierdzeniem, ja* koby władza sowiecka o tyle się utrwaliła na prowins cji, że stosowanie zbyt ostrych środków walki z kontr* rewolucją stało się zbyt bezsensowne. Rzeczywistość urągała tym twierdzeniom.

Jeżeli mogła być mowa o utrwaleniu się władzy so_s wieckiej, to chyba w wielkich miastach. Odruchy pro_s testu tak były tłumione, a przeraźliwie ciężkie warunki

istnienia tak koncentrowały myśli obywateli wokół szarej, codziennej walki o byt, o kęs chleba codzienniego, iż społeczeństwo nie mogło się wysilić na czynne wystąpienia.

Obywatel był głodnym, ściganym psem, tropionym przez bandę oprawców. Zanikały wszystkie objawy życia społecznego, zanikał również krzyk buntu, a nawet poczucie godności osobistej.

Handel, przemysł nie istniały. Wszystkie urzędy i instytucje były „socjalizowane”. Ich pracownicy przekształceni zostali w urzędników sowieckich i poddani wszystkim wynikającym z tego rygorom. Jakiś buchał? ter banku prywatnego, czy korespondent handlowy, nie mówiąc już o funkcjonariuszach samorządów, stawali się żołnierzami wielkiej armji sowieckiej, — byli zmilowani. Nie wolno im było nawet porzucać stanowisk. Zresztą był to jedyny sposób zdobycia kawałka chleba, racyj żywnościowych, prawa nabywania niezbędnych przedmiotów.

Pomysłowe umysły bolszewickie wysiłały się na stwarzanie coraz to nowych urzędów, o coraz dziwniejszych nazwach, o coraz mniej określonej kompetencji. System kolegalny, doprowadzony do absurdu, stwarzał taką sytuację, iż tam, gdzie wystarczał jeden pracownik, aby rzecz dobrze zrobić, urzędowało dzieśięciu, a robota stała na miejscu. Dyscyplina zewnętrzna nie ratowała sytuacji. Dotyczyła ona tylko formalnej strony. Urzędnik, pod grozą kar najsurowszych, nie miał prawa się spóźnić o kwadrans, nie miał prawa chodzić po kurytarzu, czytać gazet w urzędzie, rozmawiać z kolegami biurowymi. Siedział tedy przy biurku swoim, nudził się śmiertelnie, zerkał raz po raz na zegarek — i nie robił nic. Produkcyjność pracy spadła do takiego poziomu, jakiego chyba nie wyobrażano sobie nigdy.

Robota stała, — więc... rozszerzano etaty. Urzędy rozrastały się do niesłychanych rozmiarów. Jakies pies karnie miejskie zatrudniały tysiące urzędników, a chleb, z powodu braku opału, przez długie miesiące nie był wypiekany. Władze bolszewickie świadomie powiększały zastępy urzędnicze, aby jak najwięcej ludzi o siebie uzależnić, wciągnąć w tryby swojej maszyny. Istotnie, trzeba było być urzędnikiem sowieckim, aby móc jako tako trwać. Życiem—trudno było to nazwać.

To też zabawnie wyglądały ulice miasta w porannej godzinie, gdy wszyscy śpieszyli do biur. Godzina dziewiąta podług czasu sowieckiego... Istotnie zaś, z powodu fantastycznego przesunięcia wskazówek zegara, pół do szóstej. Ze wszystkich domów wylęgają tłumy ludzi. Wypełniają wszystkie ulice. Roi się od nich, jak w mrowisku. I wszystko to śpiesznym krokiem, z przedsmakiem nudy wielogodzinnej, z poczuciem krzywdzącego wstydu, biegnie do biur. Byle się nie spóźnić!

Wielu z nich nic w ustach jeszcze nie miało. Większość nie wie, jak będzie z obiadem. Wszyscy czują upokorzenie, wiedzą, że się zaprzęgli w niewolę. Są niewolnikami, którym każą udawać pracę, — bo nawet nie o rezultat tej pracy chodzi władcom. Chodzi im o wszczepienie w dusze ludzkie biernej i beznadziejnej świadomości, że są poddane.

Taki był kierat życia codziennego. Głos protestu się nie rolegał. Bano się w prywatnych nawet rozmowach słów krytyki lub oburzenia. Wiedziano, że system szpiegostwa doprowadzony jest do doskonałości. Nieostrożne słowo mogło rzucić człowieka tam, gdzie panuje wszechwładnie bezlitosna, jakąś półmistyczną grozą owiana, krwawa czerezwyczajka.

W stworzeniu skomplikowanego aparatu, którego narzędziem były najniższe cechy bestji ludzkiej, ujawniała się cała pomysłowość twórców czerezwyczajki. To było coś więcej, niż prymitywna gilotyna rewolucji francuskiej. Był to system cały, wyspekulowany, przemysłany we wszystkich szczegółach, niesłychanie sprawny i rażący niechybnie. Nie miał żadnych odchyłeń i zbroczeń. Odrzucono na stronę wszystko, co było przedtem w człowieku, jako w krew wszczepiony dorobek cywilizacji. Konsekwencja w tworzeniu czerezwyczajki była niesłychana. Skoro obrano, jako punkt wyjścia, iż czerezwyczajka ma być narzędziem terroru, — wyprowadzono z tego z żelazną logiką wszystkie następstwa. Jako tworzywem musiano już posiłkować się ludźmi, dającymi największą gwarancję bezwzględności i okrucieństwa. Musiano ich utrwalać w zdziwieniu, aby stawało się dla nich rozkoszą pastwienie się nad bezbronnymi, choremi fizycznie i moralnie ofiarami.

Konstrukcja czerezwyczajki stanowiła robotę, wycelowaną świetnie. Była ona i zostanie niezawodnym świadectwem, iż przywódcy bolszewizmu rosyjskiego nie znają półśrodków i nie zatrzymują się w pół drogi. Te cechy stanowią jeden z głównych elementów ich siły niszczycielskiej, której cały świat kulturalny lekceważyć nie powinien.

Agenci czerezwyczajki usilnie starali się o to, aby szerzyć wokół siebie przestach i grozę. Był to system zupełnie świadomy. Zależało im na tem, aby wszystkie dokonywane przez nich okrucieństwa były jak najszerezej znane ogółowi.

Był to terror w całym bezwstydzie, szczyczący się własnym cynizmem i na nim utrwalający swój byt.

Straszne rzeczy działy się dawniej w żandarmskich podziemiach. I tam były bicia śmiertelne, rozprawy kał

tów, gwałty najstraszliwsze. Jednak te strony pokątne oficjalnych dochodzeń były skrzętnie ukrywane. W masakrowaniu ich, usuwaniu od światła dziennego, było ze« wewnętrzne przynajmniej uznanie ich potworności. Mordując, znęcając się nad ofiarami, oprawcy carscy nie chcieli, aby powszechnie o tym wiadano. Na zewnątrz silili się ujawniać podporządkowanie się minimalnym nakazom kultury. Terror względem jednostki, jej terrorowanie, były sposobem wyrwania prawdy w konkretnym wypadku.

Inaczej w czczwyczajce. Tu nie o jednostkę chodziło. Tu chodziło głównie nawet nie o jej zeznania, ani o otworzenie jej ust. Gwałt nad porwaną w szpony ofiarą był metodą zastraszenia wszystkich, którzy byli i żyli poza czczwyczajką. Wynoszono na jarmark, na publiczną widownię, całe piekło bólów przedśmiertnych, aby w tych bólach, w tych jękach i krzykach całe społeczeństwo poczuło dla siebie groźne ostrzeżenie.

Skąd się brali ci ludzie, którzy podjęli się tak strasznych funkcji oprawców? Ludzie, którzy z rozkoszą wpatrywali się w rozszerzone źrenice ofiar i upajali się widokiem cierpień?

Fanatycy rewolucji? czy zwykli zbrodniarze?

Byli j ci, i tamci. Byli tacy, którzy ujrzeli przed sobą wschodzące słońce jutra, którzy dogmatycznie ukorzyli się przed fatamorganą tworzącego się komunizmu, i ślepi byli na wszystko, co ich wokół otacza.

W pierwotności dusz półdzikich uwierzyli na słowo, iż jedynie potworny spisek kontrrewolucyjny przeszkadza ziszczeniu szczęścia na ziemi. To było dla nich bezspornym dogmatem, a czyjaż dusza jest tak skłonna do dogmatem się przejąć, jak dusza wschodnia? Te same cechy narodowe, które jeszcze w wieku dwudziestym

stwarzają w Rosji grunt podatny dla sekciarstwa, dla najwięcej fanatycznych i barbarzyńskich jego obja* wów, — były podłożem psychologicznem bolszewickich okrucieństw. Między żarliwym biciem pokłonów a rozs* pasaniem zbrodniczem niema tu dystansu.

Pamiętam, długą rozmowę miałem z jednym z daw* s nych moich znajomych, fanatykiem bolszewizmu, czło? wiekiem bczwzględnie uczciwym i ideowym. Tłumaczył mi wymownie i szczerze, iż terror jest nieuniknioną fa* zą w rozwoju rewolucji, zwiastującej najjaśniejsze ju; tro dla całej ludzkości. Płonęły mu oczy, gdy rysował przede mną tę przyszłość, która jest już nic za górami, — lecz idzie, zbliża się, staje się życia władczynią. I twier? dził, że najświętszymi twórcami jutra są ci, którzy re* zygnują z uczuć własnych, którzy gwałcą w sobie ludz* kość, — a wypleniają chwasty reakcji. A potem z całą szczerością mówił o sobie. Twierdził, że nie dorósł do wysokości zadań prawdziwego komunisty, gdyż nie po* trafił wyrobić w sobie tej bezwzględności, która cecho* wać winna szczerego rewolucjonistę. Dopiero wtedy poczułby szacunek dla samego siebie, gdyby potrafił nie tylko uznać konieczność zabijania wrogów rewolu* cji, lecz i zabijać własnoręcznie.

— Muszę do tego dojść, — twierdził.

I czułem, że dojdzie... Że jest już na tem zboczu, po którym staczać się będzie coraz niżej. Już nie on panuje nad ideą, lecz ona chwyta go w swoje szpony i pcha ku orgjom piekła.

Było wielu takich, jak on... Opętańcy i ofarnicy, prorocy i bandyci w jednej osobie. Machina rewolucji porwała ich w swe tryby, — i już nie było dla nich po^ wrotu. Na ich szaleństwie ślepem, na ich widzeniach obłąkańczych grali wielcy mistrzowie przewrotu. Wy? gniali z nich resztki zastrzeżeń i wątpliwości i pro; wadzili ku pierwszemu upadkom. Z fatalną konieczno*

ścią następowały upadki coraz nowe, aż ku zupełnemu zdziżczeniu.

I tu spotykali się ci opętańcy z inną kategorią dzia? łaczów czrezwyczajek. Ze zwykłymi bandytami i oprawcami. Ci szli drogą odwrotną: nie od idei do zbrodni, lecz od zbrodni do tej idei, która dawała cał? kowite rozgrzeszenie ich najgorszym instynktom.

Przy wszystkich ustrojach byli oni wyrzuceni poza nawias życia społecznego. Teraz dopiero nie tylko do współpracy ich powołano, lecz dano im do rąk władzę wprost nieograniczoną. Byli panami życia i śmierci. Rozbestwienie, chciwa żądza krwi, znajdowały legalne ujście. Mogli się pastwić już bezkarnie. A byli potrze? bni, gdyż bez nich wodzowie czrezwyczajek nie mieli* by pewności, że najdziksze ich rozkazy będą niezwłocz? nie spełnione. Niezawodnym narzędziem w ich rękę były męty i szumowiny społeczne, przybrane w togi budowniczych jutra.

A jednak i tamci, ex4deowcy, i ci, ex-bandyci, nie mogli spełniać swych przerażliwych funkcj bez pod* niet sztucznych. Pławili się w morzu krwi. Żyli w atmo* sferze jej oparów. Otaczały ich jęki konających i mor* ciowanych. Aby to znieść, aby trwać nieustannie w bc/. . litosnem okrucieństwie, aby nie dopuścić do siebie gło* su ludzkości, musieli się narkotyzować. Czynili to wszy? scy i bez przerwy. Najwięcej rozpasane orgje, manjac* kie wyuzdanie, stałe pijaństwo — taki był tryb życia tych ludzi. Pili i katowali, szaleli i zabijali. I to wyczer? pywało bieg ich życia. Podniecali się przed każdą „ro- botą”, aby po niej znów zagłuszać niepotrzebne echa wódką i rozpustą.

Kokaina była także w modzie. Wpływ jej mógł ob? serwować każdy.

Oto, na przykład, scena mego aresztowania. Późny wieczór. Leżę już w łóżku i czytam. Odzywa się dzwonek. Ktoś drzwi otwiera. W tej chwili rozlegają się w przedpokoju tupot niesłychany, jak gdyby szwadron kawalerji tłukł się po posadzce, i jakieś niesamowite krzyki. Cała zgraja wlatuje do mego pokoju z nastawionymi karabinami, wydając okrzyki zupełnie niezrozumiałe. Kolby migają mi nad głową, ktoś mnie z łóżka ściąga, ktoś każe się ubierać, inny przeszkadza. Nie tyle po wyglądzie zewnętrznym, ile po rozmachu bojowym zaczynam odróżniać kierowników tej całej źle skoordynowanej operacji. „Sędziowie” Głuzkin i Kowalski, — z których pierwszy zwłaszcza sili się innych prześcignąć w terroryzowaniu mojej osoby, raz wraz zbliżając do mnie kolbę, lub, na odmianę, bagnet.

Wyzwiska, przekleństwa trwają bez przerwy, © czasu do czasu między jedną a drugą polajanką słyszę „istotę” oskarżenia: Jestem zbrodniarzem, kontrrewolucjonistą, szpiegiem polskim, najmitą reakcji, wrogiem ludu. Naiwnie odpowiadam, że to wszystko wyjaśni się przy dochodzeniu, a teraz ani czas, ani miejsce na wzajemne przekonywanie siebie. Wywołuje to nowy grad obelg, nowe igraszki z kolbą i bagnetem.

Zjadliwym głosem p. Kowalski mówi do p. Głuzki» na, oczywiście mając na względzie moją osobę.

— On myśli, że my go zaprowadzimy do czerezwyczajki! A my go tu, na ulicy, ubijemy jak psa!

Wszystko to pachnie tanią i niesmaczną scenerją.

W pewnym momencie cała zgraja rzuca się, jak do ataku, na biurka, szafy, stoły, szturmując wszystkie melbie, wywala szuflady, wyrzuca papiery, ciska książkami. Domyślam się, że jest to rewizja. Niektóre jej fragmenty dokonywane są nawet z pewną precyzją, świadczą o zawodowym wyszkoleniu. Lecz całość jest zupełnie chaotyczna.

Zaimponował mi szczerze p. „sędzia” Kowalski, gdy chodziło o otwarcie jednej szafki. Klucz od niej zgubiłem i w przeddzień rewizji sprowadzałem ślusarza, aby ją otworzył. Nie dał rady. Zamek był skomplikowany, trzeba więc było konstruować w trybach, ja? ktoś zupełnie specjalny. Gdy oświadczyłem to panu Kowalskiemu, zaśmiał się prawie sardonicznie, cisnął się ku szafce, wyjął z kieszeni garść jakichś kluczyków i w trybach, — i otworzył zamek w mgnieniu oka.

Po półgodzinnej furji nastrój zaczął stopniowo się obniżać. Milkły krzyki i pogróżki, rewizja stawała się coraz spokojniejsza i coraz więcej powierzchowna. Szeregi szuflad i skrytek nie tknięto nawet. Łupem stało się to tylko, co zdobyto w pierwszych momentach. Wpakowano bezładnie do jakiegoś worka wytrzeszone z niektórych szuflad papiery, zeszyty, książki, z pośród których większość stanowiła materiały najoczywistej zbyteczne i obojętne. Dygnitarze chodzili po mieszkaniu coraz leniwiej; walili się na kanapy i fotele. Na twarzach ich malowało się wyraźnie wyczerpanie, zmęczenie, nuda.

Kokaina przestała działać.

Może na chwilę rozjaśniły się oblicza władców, gdy w jednym z pokoiów natrafili na spory kufer, wypełniony bielizną i pościelą. Oświadczyli, że konfiskują te rzeczy „na korzyść ludu”, nałożyli na kufer pieczęcie i zagwarantowali ich nietykalność odpowiedzialnością osobistą jednego z współlokatorów (oczywiście „pod karą śmierci”). Była to jednak ostatnia chwila jasna w atmosferze apatii i depresji.

Leniwie, jakby spełniając nudny obowiązek, wyproszono mnie z mieszkania i polecono dwu żołnierzom odprowadzić mnie piechotą do czerezwyczajki. Cała zgraja wsiadła do samochodów i wyruszyła, — sądząc o rozmów na schodach, — do jakiejś spelunki. Miał*

być tej samej noey jeszcze jedna robota, lecz przed nią trzeba było się odświeżyć. Można było przewidzieć, aż do najdrobniejszych szczegółów, jak ci sami ludzie, w tej chwili bezwładni i osowiali, za parę godzin z furją i impetem ruszą do ataku na nowego rewolucjonistę.

Ten sam wpływ narkotyku ujawniał się jaskrawo i w tych momentach, kiedy więzień czrezwyczajki wzy_swany był przed oblicze sędziów dla tak zwanych ba_?dań. Najczęściej odbywało się to w nocy. Była w tern także pewna „idea”. Ponieważ wyciąganie z cel skazań*ców na rozstrzelanie odbywało się w nocy, więc każdy więzień, którego wywoływano o tej porze, nie miał za_?dncj gwarancji, czy nie jest to ostatnia przechadzka w jego życiu. Na wszelki wypadek żegnał się z najbliż_>szymi towarzyszami niedoli i potem szedł za dozorca*mi więziennymi, baczenie stawiając krok każdy, słysząc w mózgu jego dzwonienie, — z oczyma wpatrzonemi w wieczność.

Była to ze strony „śledczych” nieskomplikowana gra psychologiczna. Człowiek, idący ku śmierci, stawał się bezwolny i bezwładny. W tej walce, która się za chwilę miała rozegrać, łatwiejszy był do pokonania.

I oto, po długim błędzeniu po tajemniczych kury*tarzach, gdzie z za każdego węgła wyglądał strach po*stokroć znanych cierpień ludzkich, bólu człowieczego, wprowadzano delikwenta do jakiegoś niezgorzej umc?blowanego saloniku, gdzie na stylowych fotelach, staś nowiących zdobycz wojenną, rozsiadali się wygodnie sędziowie.

Pierwsze kwadrans badania miały charakter naj?bezsensowniejszy. Z krzykiem i groźbami rzucono się na przygnębioną ofiarę, która przed chwilą odbyła straszny pochód ku celom nieznanym, a najprawdopo;dobniej ku śmierci. Kolby i bagnety nie były coprawda w robocie, lecz w ich prawa wstępowała lufa browninga-

Stawiano, na przykład, takiego niedobitka nod ścianą, pan sędzia wyszczerzał ku niemu ciemną, jak śmierć, paszczę rewolweru, zawzięcie liczył do trzech, a potem raz jeszcze od początku, a w przerwach między spadającymi, jak wystrzały, cyframi, żądał wyjaśnień, zdradzenia współników, wykrycia organizacji. Jednym słowem, czynił szereg propozycji, których przyjęcie miało uratować zbrodniarza od rzeczy tak niechybnej i prostej, jak nieostrożne naciśnięcie cyngla przez działającą w tym stanie emocji pogrobowcę Maratów.

Biorąc te rzeczy retrospektywnie, widzi się taniać efektów scenicznych. A jednak, — działały one, i każdy badany musiał odczuwać jakieś dreszcze i jakieś skurcze w sercu. Jak reagował: dumą, czy upodleniem, czy jednym z nienazwanych etapów, które między tymi dwoma biegunami się mieszczą, — to rzecz inna. To była kwestja charakteru, hartu, męstwa. Lecz grozę przedśmiertną czuł każdy.

I znowu, jak przy rewizji, pomiatano człowiekiem. Stokiem obelg go obrzucano. Istoty badające były w transie najoczywistszym, w stanie nieobliczalnego podniecenia.

A po paru kwadransach znów się zmieniała scena. Coraz powolniej, coraz bezładniej padały pytania. Rewolwer walił się na stół, i już nie wyglądało zeń oblicze śmierci. Maraci wgłębiali się w fotele. Sowiąły ich oczy, stawały się puste i martwe, jak wiew pustyni. I często* kroć nie stać ich już było nawet na spisanie protokołu, nawet na dorzucenie tych paru ostatecznych, decydujących pytań, których istota dawała się przewidzieć lub wyczuć z poprzedniego wirowania wokół nich w określonej płaszczyźnie.

Przestawał działać narkotyk...

Czrezwyczajka gubernjalna zajmowała były gmach gubernatorski, przyczem cele mieściły się na parterze. Na piętrze urzędowali funkcjonariusze. Aresztowany trafiał przedewszystkiem do celi przy komendanturze, gdzie trzymano go niedługo, poczem pchano go „na stałe”, w zależności od charakteru oskarżenia, do miejsca dłuższego pobytu. Klienci czrezwyczajki dzielili się na dwie zasadnicze kategorie: spekulanci i kontrrewolucjoniści. Dla pierwszych przeznaczona była duża cela, mieszcząca stu lub więcej więźniów. Traktowano ich, jako mniej niebezpiecznych. Często, w braku miejsca gdzieindziej, trafiali do „spekulacyjnej” celi i kontrrewolucjoniści. O tych zgóry powiedzieć było można, że zbyt niebezpieczeństwo im nie grozi. Byli to ludzie mniej skompromitowani.

Los spekulantów był często przedmiotem zazdrości kontrrewolucjonistów. Wyprowadzano ich często na roboty przymusowe. Dawało to jaki taki kontakt ze światem zewnętrznym, możliwość kupienia sobie pożywienia, zobaczenia twarzy znajomych lub blizkich, a wreszcie trochę światła i powietrza. Spekulanci, najczęściej ludzie zażywni i zasobni, skarżyli się i sarkali na te roboty, — że to do pracy fizycznej zawsze czuli ywersję. „Kontrrewolucja” jednak traktowała ich jako szczęściarzy, i, powiedzmy wyraźnie, czuła dla nich źle maskowaną wzdę. Pod jednym względem sytuacja spekulantów była gorsza, niż nasza. Spadał na nich obowiązek mycia podłóg w kurytarzach i innych ubikacjach, oraz czyszczenia klozetów. Myśmy też myli po? alogi, lecz tylko we własnej celi, tylko dla siebie, więc czyniliśmy to z całym zapałem i nawet nic bez przyjemności. Zato z uczuciem wyższości pewnej przyglądaliśmy się przez kraty, jak pocił się i sapał nad ścierką i miotłą jakiś solidny bankier lub fabrykant. Stał nad nim zawsze „poganiacz”, dozorca więzienny, i wyma<

gai roboty precyzyjnej, akuratelnej. Nie o czystość kury* tarza chodziło mu oczywiście, lecz o pohańbienie i spo; niewieranie „burżuja”. Niewolnik cieszył się, że ma niewolnika. Trzeba było wsłuchać się w tą symfonię obelg, w grad wyzwisk najwięcej pomysłowych i plu? gawych, jakimi „burżuj” był zasypywany. Nie wolno mu było czynić naturalnych usiłowań, aby jak najmniej się zababrać i umorusać. Musiał się zabrudzić, zanieczyścić, splugawić. Musiał rękami robić to, co można zro? bić szczotką, lub jakim innym narzędziem. Dozorca, wierny a gorliwy naśladowca zwierzchników swoich., wtedy dopiero czuł satysfakcję cudzego pohańbienia. Upajał się tą swoją mizerną władzą. Nie myślał o tem, że jest sam tylko marną sprężyną w aparacie czczewy? czajki. Czuł się panem...

f- „Kontrewolucja” mieściła się w dziesięciu mniej« szych celach, z której db każdej można było wpakować od 10 do 30 więźniów. Zresztą cyfry te były bardzo roz? ciągliwe. Cella, w której spędziłem cały okres mego po* bytu w czczewy?czajce, miała siedem kroków wszerz i osiem wzdłuż. Zaludnienie jej dochodziło do 28 osób- Gdy bywało nas tam dziesięciu, dwunastu, czuliśmy się, jak gdyby ciężar jakiś przestawał nas gnieść. Przy więk* szej ilości nie było miejsca nawet na leżenie pokotem. Cella była „ciemna”, bez okna i bez wentylacji, więc at? mosfera stawała się niemożliwa. Nie było czem oddy- chać, ciało oblewało się potem. W ubraniu nie można było wytrzymać, więc większość więźniów spędzała czas bez koszuli.

Trochę desek, zastępujących nary, stanowiło jedy? ne umebłowanie cel. Aby mieć prawo z tych nar korzy? stać, trzeba było pierwzej wyleżeć się długo na podłodze. Dopiero wtedy, gdy uwalniało się miejsce po koledze, wypuszczonym na wolność, przeprowadzonym do zwy- kłego więzienia, lub zgoła rozstrzelanym, w stan posia?

dania wkraczał ten, który najdłużej czekał na ziemi. Sprawiedliwość pod tym względem panowała absolutna, Ani pochodzenie, ani zasługi na wolności, ani nawet wiek nie dawały żadnych przywilejów. Wszyscy tu byli równi, gdyż wszyscy jednakowo byli kandydatami na rozstrzelanie. I dla wszystkich jednakowo istniało tylko jedno pytanie, najpierwotniejsze, wyzwolone od wszystkiego, co komplikuje byt człowieka:—życie, czy śmierć? Do tego zagadnienia zbliżał się tu człowiek bez*pośrednio, każdym nerwem duszy wyczuwał jego istotę i wagę. Wielorakość pojęć o życiu, różnobarwność jego wyobrażeń, która w warunkach normalnych zaciem*nia i zachwaszcza treść cudu życia, — tu nie istniały. Każdy jednakowo intensywnie rozumiał, czym jest ży*cie. Była to antyteza śmierci. I tak samo, jak realny był widok śmierci, i jej wykrzywione oblicze, — tak samo realna stawała się antyteza.

„Kontrewolucyjne" cele czrezwyczajki dzieliły się na dwie kategorie: ciemne i jasne. Ciemnych było czte*ry. Miały okna rozmyślne zamurowane, aby tem groź*niejsze myśli przebywanie w nich budziło wśród uwię*zionych. Właściwie nie były one ciemne, gdyż paliła się w nich stale, w dzień i w nocy, lampka elektryczna, któ*rej gasić nie wolno było. Brak było światła dziennego, brak było powietrza. Na usposobienia więcej nerwowe działało to niesłychanie deprymująco. A jednakże nie jest to paradoksem, iż nawet w tem zamurowaniu kryło się dziwne błogosławieństwo dla ludzi, którym sądzos*ne było dłużej w takiej celi przebywać. Brak tlenu za*głuszał żądę życia. Był to efekt ściśle fizjologiczny. Narastało dziwne zobojętnienie.

Po paru tygodniach więzień coraz mniej reagował na kwestję ostatecznych rozstrzygnięć. Stawało mu się

coraz wyraźniej wszystko jedno. Główna myśl, jątrząca bez przerwy, coraz uporczywiej, zmieniała swój kształt. Już nie o to chodziło, jak się to skończy, ile o to, kiedy wreszcie się skończy. Byle jak najprędzej!

Mówili nieraz uwięzieni: „Jeśli nas mają rozstrzełać, lepiej od razu kula w łeb, niż tu gnić i morzyć się głodem!”. Narazie było w tem sporo pozy i samooma* miania się. Lecz stopniowo, w miarę jak mijały tygo* dnie, a los się nie rozstrzygał, poza stawała się prawdą duszy. Lotny frazes nabierał ciała, zaczynał żyć.

To dziwne błogosławieństwo życia bez tlenu nie? wiadome było prawdopodobnie przywódcom i zbirom czczewyczejki, gdyż niezawodnie wymyśliliby przeciw niemu jakieś specyficzne remedjum. Zresztą i więźnio? wie nie zdawali sobie sprawy z tak oryginalnego efektu braku powietrza i srodze nań utyskiwali, nie tając za? zdrości względem szczęśliwców, zaludniających jasne cele. Czynili te, lub inne starania, aby zmienić pod tym względem swój los. Zresztą w grę tu wchodziła jeszcze jedna myśl. Do ciemnych cel trafiali „ciężsi”. Jak nie dochodził do nich promień światła, tak samo obca im była nadzieja wyzwolin. Przejście do celi jasnej wyda? wało się oddaleniem od śmierci, nawiązywaniem rwa? cych się nici życia.

Co parę dni, abyśmy się już do szczeru nie udusili, wyprowadzano nas na przechadzkę do pięknego „gu? bernatorskiego” ogrodu przy gmachu czczewyczejki.

Oślepiająca zieleń, czar słońca, bezmiar powietrza, bujność i rozkwit życia...

Przechadzka taka trwała oficjalnie 10 minut. Cza? sem o parę minut mniej, lub więcej, zależnie od nastro? ju konwojujących. Starali się wszyscy jak najprodukcyj* niej wykorzystać te krótkie chwile, zaczerpnąć do płuc jak najwięcej powietrza. Oddychali poważnie, systema* tycznie, głęboko, w skupieniu, jak gdyby spełniając ro,*

botę bardzo ważną, konieczną. Tem cięższa była chwila powrotu do celi. Panowała opinia powszechna, iż było* by lepiej bez tych przechadzek krótkotrwałych, gdyż si* ią kontrastu potęgują one ciężar, tłoczący piersi w celi.

Ponieważ wszystko, co więzień miał na sobie, oprócz tego mizernego przyodziewku, odbierano odeń przy wejściu, więc i korzystanie z zegarków nie było dozwolone kontrrewolucjonistom. Było parę wypad* ków, iż więźniowi udawało się „przemycić” do celi tę niebezpieczną maszynę. Taki nowy gość był zawsze ra* dośnie witany, a czasomierz — otaczany ogólną opieką i pieczołowitością. Była przynajmniej jakaś orientacja. Zwłaszcza w godzinach przedobiednich, kiedy głód sro* dze doskwierał, miło było śledzić powolne, lecz stałe posuwanie się wskazówek zegara ku upragnionej chwili przyniesienia strawy, — skądinąd wcale nie ponętnej. Bez zegarka świadomość godzin, przynajmniej okresów dnia i nocy, mogła powstawać tylko w drodze chwy* tania takich etapów, jak zmiana warty, przyniesienie posiłku, i rozmaitych szmerów i ruchów w państewku więziennym, na które ucho więźnia jest dziwnie wra* żliwe.

Z pośród czterech cel ciemnych w najszcześniejszej pozycji była ta właśnie, w której przebywałem. Cella Nr. 2... Miała ona bowiem swoją tajemnicę, skrzętnie przechowywaną przez więźniów, aby, broń Boże, nie dowiedzieli się o niej dozorczy.

Przez kratę w drzwiach widziało się ciemny kury* tarz, w którym nawprost naszych drzwi były inne, zaw* rżone zamknięte; za drzwiami temi wieczorem słychać było tupot, krzyki i zabawy żołnierzy. Podobno był to lokal, z innym wejściem od ulicy, w którym przeznacze* ni do wykonania egzekucji czerwoni wojacy oczekis wali, aż ich wezwą do „pracy”. W oczekiwaniu tej go* dżiny pili nazabój; nieraz słychać było, jak się między

sobą tłuką, a jurne dowcipy żołdackie dochodziły do naszych uszu.

Ów tajemniczy lokal, w którym za dnia panowała cisza absolutna, był oczywiście jasny. Nasza zaś tajemnica polegała na tym, iż drzwi od niego miały dziurkę od klucza, i oto my, przez naszą kratę i tamtą dziurkę, wi# dzieliśmy, czy na świetle bożym jest ciemno, czy jasno, Czy to dzień, czy noc. Była to nasza „gwiazda”, — jak została ochrzczona ta szpara. Więcej nic...

Lecz i to ceniliśmy niesłuchanie. Coraz to nad ranem ktoś się zrywał z nar i biegł ku kracie. Poczem z pewnym źle maskowancm rozrzewnieniem, oznajmiał wszem wobec: „już jasno”, lub „jeszcze ciemno”...

Wiedzieliśmy napew?no, że gdyby który z dozorców wykrył nasz sekret, natychmiast zasuniętoby dziurkę od klucza. Tego wymagał system. Nawet taka błahostka musiałaby być zlikwidowana, dlatego właśnie, iż ma pewien walor dla więźniów.

Najgorszą opinią cieszyły się cele czwarta i piąta. Były one najbliższe wyjścia, więc najwygodniej było wyprowadzać z nich ofiary na egzekucje. Dawały przede? to największy odsetek skazańców. Trupim chłodem z nich wiało. O ile chodziło o rozprawy pojedyncze, wy»ciągano na nie więźniów bezpośrednio z tych cel, w których zastał ich wyrok. Powtarzały się jednak sporadycz?nie rozprawy masowe, kiedy w ciągu jednej nocy roz?strzeliwano dziesiątki kontrrewolucjonistów. Wtedy, dla ułatwienia roboty, spychano ich wszystkich wieczorem do jednej z cel powyższych, lub do obu. I już wszyscy rozumieli, co znaczą te tranzlokacje.

Byłem trzy razy świadkiem takich scen. W godzinach przedwieczornych pan komendant czrezwyczajki obchodził w asyście dozorców i wartowników wszyst,-

kie cele z jakimś tajemniczym spisem w rękę, i po kolei, miarowo, wydzwaniał nazwiska tych, którzy mieli zmienić lokal. Panowała wtedy cisza przeraźliwa. Za? mieraiy oddechy. Każdy w cichem osłupieniu czekał, aż padnie, jak grom, jego nazwisko... A potem wyprowadzano tych, którzy w spisie byli umieszczeni. Były to żywe trupy. Wiedzieliśmy, że chyba cud uratować ich może.

Na ich miejsce wprowadzano nowych, często z jasnych cel, a czasem z czwartej i piątej. Tych godzina jeszcze nie wybiła. Narazie odłożono ich na stronę.

Co się działo tam, w celach śmiertelnych, mówić o tem trudno. Lecz i w innych niepokój twał do rana. Że będzie w nocy walna rozprawa, nie wątpił nikt. Lecz kto wie, czy na ten raz nie nastąpiła zmiana rozkładu? A może właśnie nasza cela jest na śmierć skazana? A może spis ofiar, prowadzonych na rzeź, jest tak duży, że oczyszczą się nie dwie, lecz trzy lub cztery cele? Trzeba było mieć nerwy stalowe, aby móc zasnąć w noc taką.

Szły długie, nieskończone godziny... Czekano na to, co się stać musi. Wiedziano, że niema siły, która zdoła odwrócić bieg zdarzeń.

I oto, w późną noc, rozlegały się na kurytarzach liczne stapania. Szli oprawcy. Tętniły ich kroki w uszach każdego, wwiercały się w mózg. Przed jaką celą się zatrzymają? Czy nie ku nam idą? Sekundy były jak wieczność.

Stanęli. Zgrzyta klucz w drzwiach. Dozorca wchodzi z żołnierzami i wyciąga określoną ofiarę. Jedni idą na rozkaz bezwolni, senni, ogłuszeni. Inni stawiają opór, szamocą się, krzyczą. Nieraz krzyk ich rozpaczny rozlecia się po całym więzieniu, mrozi dusze wszystkich. Dozorca używa siły. Biję, i biję. Wreszcie wyciąga ofiarę, którą chwytają żołdacy i ciągną dalej. Czasem, bar*

dzo rzadko, ktoś ze skazanych ujawnia moc ducha, i idzie na śmierć z zuchwałym spokojem. Czasem rozlegnie się krzyk ostatni: „precz z komunistami!”, zagłuszony niezwłocznie twardą pięścią sołdacką.

Już wyprowadzili ofiarę... I znowu mijają chwile... Kto może zliczyć minuty oczekiwania? A potem znowu kroki na kurytarzu, znowu ta sama trwoga bezbrzeżna, i jeszcze jeden człowiek rozpoczyna swój pochód ku śmierci. I tak bez końca. Idą jeden za drugim, że wreszcie traci się rachubę. — „To już dwudziesty!” — „Nie, dwudziesty drugi!” — sprzeczą się więźniowie.

Przy mnie jednej nocy „zlikwidowano” trzydziestu dziewięciu. A potem siedemdziesięciu trzech. Było to prawdziwe żniwo śmierci. Celem jego — szerzenie grozy i strachu. Niedarmo twierdziła tajna instrukcja dla agentów czczewiczajek, której odpis znaleziony został po ucieczce bolszewików w maju 1920 r.: — Trzeba tak działać, aby nie tylko obawa śmierci, lecz samo słowo „czczewiczajka” budziło grozę”.

Tylko te oto cechy, raczej psychologiczne, stanożyły różnicę między celami. Pozatem nie było żadnych ścian i nary, a wreszcie ta nieodzowna więzienna „paraszka”, która należy do niezbędnych akcesoriów każdego więźnia. To było wszystko. Jaka taka pościel, czy siennik, czy choćby garść słomy, należały do przesądów burżuazyjnych, skrzętnie usuwanych z proletariackiego więzienia. Grzesznemu ciału kontrrewolucjonisty, a nawet spekulanta, musiały wystarczyć deski, a pięść własna skutecznie zastępowała poduszkę. I tak się człowieczysko z tern oswajało, że już samo wywyższenie się z podłogi na nary wydawało się dostąpieniem łaski.

Wszy gryzły niemiłosiernie. I już na to żadnego

nie było ratunku. Systematyczne polowania częściowo tylko usuwały zło. W godzinach wieczornych, przed ułożeniem się do snu, wszyscy lokatorzy cel odbywali rewizje najskrupulatniejsze, wglądając we wszystkie skrytki bielizny i ubrania. Połów był zawsze obfity, lecz i na jutro nigdy nie brakło zwierzyny.

I pod względem jadła nie wiele zadawano sobie trudu z bracią skazańczą. Rano i wieczorem — tak nie? słusznie zwana herbata, przynoszona w wiadrze, której cechą specyficzną było to, że w niej herbaty wcale nie było. Czasem marchew suszona, czasem, ku uciesze więźniów, cukier palony, — ubarwiały ciecz. Piło się na umór ten płyn, który jednocześnie służył do mycia czyń, a nawet podłóg, o ile nie udawało się wyprosić wiadra z zimną wodą. Te posiłki pseudoherbaciane musiały obchodzić się bez chleba.

Momentem najważniejszym był obiad, który, bądź co bądź, zawierał jaką taką pożywność. On jeden podtrzymywał smutny żywot więźniów, aż do chwili, kiedy pasmo tego żywota przecinała moc wyższa, gnieżdżąca się na piętze.

Dobrze zrozumiany interes finansowy czczwyczajki splótł się tu z tendencjami humanitarnymi społeczeństwa. Nie chcąc ponosić niepotrzebnych kosztów żywienia więźniów, które byłyby przykrem obciążeniem rewolucyjnych budżetów, czczwyczajka udzieliła specjalnych koncesyj Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi, pozwalając mu dawać obiad uwięzionym. Obiad, jak obiad... Fundusze Czerwonego Krzyża były skromne. Bądź co bądź była zupa i jakaś kasza. W celi ogólnej, gdzie wydzielano porcje na kilkadziesiąt osób, skarżono się, iż nie wystarcza tego jedzenia. Cele ciemne, przyznać to należy, jako otoczone specjalną opieką przezacnych sióstr miłosierdzia, miały pewne zakonne przywileje. Podsypywano im kaszy nieco

więcej, tak, że po obiedzie nie czuliśmy się głodni. Rzecz inna, że doczekanie się następnego obiadu, który, na nieszczęście, wypadał dopiero o dobę później, było nieco trudne.

Raz na tydzień wolno było rodzinom składać w kancelarii czrezwyczajki jedzenie dla uwięzionych. Wytrząsały więc matki, żony i siostry swe ubogie kalety, kupowały najlepsze smakołyki i niosły je do czrezwyczajki w zbożnej nadziei, iż nieco żywot swym najbliższym umilą. Było w tem sporo złudzeń. Przede wszystkim najsmakowitsze specjały rozchwytywane były przez dozorców i żołnierzy, którzy także oczekiwali upragnionego dnia, aby przywłaszczyć sobie dary kochających serc. A to, co zostało, nie mogło regulaminowo iść pod wskazanym adresem. Zsypywały się dary wszystkie w jedną wielką kupę i dzieliły między wszystkich więźniów. Jakiś tam kęs chleba, pół rzodkwi i krztyna słoniny wypadła każdemu. I to już było świętem. Dnia darów oczekiwano niecierpliwie.

A tam biedne matki myślały, że ten właśnie kęs, pieczołowicie przez nie przygotowany, może łąką najserdeczniejszą skropiony, trafi do rąk ich synów.

Nakaz podziału darów nie wpływał bynajmniej z poczucia komunistycznej sprawiedliwości. Inne tu były motywy. Decydowała obawa, aby wewnątrz jedzenia nie przedostała się do więźnia jakaś kartka ze świata, jakiś sygnał z domu. Było rzeczą niezmiernie ważną, aby izolować więźnia jak najskrzętniej.

To też w czrezwyczajce były rzeczą zupełnie niedopuszczalną widzenia się z najbliższymi. Wszelkie starania krewnych o prawo zobaczenia uwięzionego, chociażby przez kratę, pod eskortą, jakkolwiekby zresztą, spełzały na niczym. Uwięziony zapadał, jak w grób. Tracił kontakt z życiem zewnętrznym, absolutnie, nieodwołalnie.

Prawdziwą ulgą dla uwięzionych była czasem możność zdobycia wiktuałów, lub papierosów, za pośrednictwem dozorców. Nie wolno było wprawdzie mieć pieniędzy, lecz każdy prawie w butach, lub inaczej, trochę grosza do celi przeszwarcował. Niektórzy dozorczy zgodzali się brać pieniądze i kupować za nie chleb, tytoń. Było to nadużyce, jednak tolerowane. Dozorcy robili na niem niezły interes, gdyż o cenę towaru nikt się nie sprzeczał. Byle dostać.

Pieniądze, znajdujące się w celi, towar, za nie nabyty, stanowiły własność wspólną. Panowała tu istotna, przez nikogo nie nakazana, komuna. Mógł na to sarkać czasem jakiś nieokrzesany nowicjusz, lecz rychło poddawał się opinii ogólnej. Przymusu nie było. Wolno było każdemu wyrzec się wspólnoty i żyć indywidualnie. Otaczano go rychło taką wzgardą i takim ignorowaniem, iż musiał wcześniej, czy później wyciągnąć rękę ku zgodzie. I cieszył się, jeżeli dłoń tę przyjęto.

Gdy już po brzegi się wypełniały cele czerezycza? jek, a kosa śmierci nie nadążała za pracą denuncjantów i tych, którzy z morza ludzkiego wyławiali ofiary,—odbywała się wtedy nowa segregacja. Partje więźniów, mniej narazie potrzebnych, odłożonych na później, skierowywano do tak zwanej „Łukjanówki”. Było to normalne więzienie. Tranzlokacja do Łukjanówki rajem była dla wszystkich. — Przedewszystkiem — rozkosz długiego spaceru przez całe miasto, pod eskortą wprawdzie, lecz pod niebem otwartem. Rozkosz ujrzenia twarzy przechodniów, wśród których czasem mignęło jakieś znajome, lub nawet bliskie oblicze. A potem sam po*być w więzieniu dawał plusy olbrzymie.

Wolno było mieć pościel, wolno było czasem mieć widzenie z najbliższymi, wolno było systematycznie

otrzymywać jedzenie z domu i rozporządzać własnymi pieniędzmi, złożonymi w kasie więziennej. Dozorcy nie ujawniali tendencji znęcania się nad więźniami. Toć byli to ludzie fachowi, którzy przetrwali wszystkie przewroty. Dozorowali nie tak dawno rewolucjonistów, za czasów carskich. Obecnie, gdy się zmieniły czasy, dozorować musieli „kontrrewolucjonistów”. Czyż mogli czuć do nich specjalną nienawiść? Spełniali tylko swój zawodowy obowiązek, a reszta już ich nie obchodziła. Ujawniali, jako ludzie doświadczeni, sporo po błędności i odważali się nawet czasem, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem, odnieść kartkę i przynieść odpowiedź.

Nie to jednak stanowiło główną ponętę tranzlokacji z czczwyczajki do więzienia. Chodziło o to, że więzień w Łukjanówce czuł się bezpieczniejszy. Było to bezpieczeństwo bardzo względne, gdyż w każdej chwili mógł oczekiwać powrotnej przeprowadzki, wrzucenia do czwartej lub piątej celi i tragicznego rozwiązania. Póki jednak był w Łukjanówce, śmierć nie groziła bezpośrednio. Odchodziła na stronę, kosząc inne ofiary.

W Łukjanówce zasypiano spokojnie wieczorem, gdyż wiedzano, że nikt w nocy nic wyciągnie z celi i nie poprowadzi na śmierć. Ten zaś stan oczekiwania był w czczwyczajce rzeczą najtrudniejszą do zniesienia.

Nie mówię już o nocach rozpraw masowych, o których przedtem wspomniałem. Wiedzano zawczasu, że bije z nich zgroza. Lecz i codzień, w tej powszedniej szaryźnie życia więziennego, nie byliśmy pewni dnia, ani godziny. Rozstrzeliwanie pojedynczych ludzi było zwykłym normalnym. A ponieważ nie wiedział nikt, czy sprawa jego jest zakończona, czy nie zapadł już wyrok, ścisnęły się serca wszystkich w miarę zbliżania się nocy.

Nie wielu znałem takich, którzy w ciemnych celach spać mogli w godzinach najniepewniejszych, między

pierwszą a trzecią po północy. Ci nawet, którym udało się zasnąć z wieczora, zaczęli się ruszać niespokojnie w miarę zbliżania się chwil krytycznych. Niejeden szepnął do sąsiada: — „spać nie mogę... wszy gryzą!...”» Lecz wiedział i on, i sąsiad, że to tylko poza, że tak mówić wypada, że winę za bezsenność niesłusznie się składa na robactwo, — a co innego spać nie daje.

Budzili się wszyscy, jeden za drugim, otwierali oczy szeroko i patrzyli tępo w jakiś kawał sufitu lub ściany. Półgłosem dyskutowano, czy dziś wyprowadzą i kogo... Przypuszczenia, przewidywania, opierano na wskazówkach drobnych, nieuchwytnych. Komendant Ugarow wieczorem bardzo zjadliwie się uśmiechał. Wśród dozorców panowało zaniepokojenie. Za „gwiazdką” słychać było ruch podejrzany. To wszystko były oznaki niepomyślne, — a jakież dzień nie przynosił jakiegokolwiek z tych, lub innych oznak?

Lecz oto ktoś szepnął: „cicho!”. Rozmowy urywały się niezwłocznie. Każdy wiedział, co to znaczy. To jakieś stąpania doszły do uszu. Słychać je coraz głośniej.. Ktoś idzie?... Czy „oni”, czy to tylko zmiana warty, lub obchód nocny komendanta?...

Gdy wątpliwości już nie było, gdy stawało się wiadome, że oprawcy przyszedli po łup, narastała nowa fala niepokoju. Z której celi? A jeżeli z naszej, to po kogo? — Po mnie, po mego sąsiada?

Te chwile, kiedy eskorta zatrzymywała się przed celą, a zastępca komendanta, otoczony przez dozorców, miał rzucić jedno nazwisko, niewiadomo czyje, — były już poza krawędzią świadomości. Gdyby świat się walił w tej chwili, gdyby były pioruny, nic widzianoby tego, nie słyszano. Myśl cała, cała dusza ludzka skupiała się w jednym oczekiwaniu, i zdolna była schwycić i zrozumieć tylko głos komendanta, zwiastuna życia, lub śmierci.

Znali dobrze tę trwogę agenci czrezwyczajki. Dla* tego właśnie często inscenizowali w nocy wyciąganie z celi ofiary, już pewnej śmierci, aby ją postawić pół* przytomną przed obliczem sędziów. I w takim stanie poddawano ją terrorowi badań.

W dziwny sposób odbywały się badania. Sędziowie, którzy nie tylko wyrokowali, lecz także prowadzili iledztwo, a nawet osobiście dokonywali rewizyj i are? i.ztowań, byli to ludzie, którzy o współczesnych meto? dach szukania prawdy w procesie nie mieli najmniej* szego pojęcia. Nie znając ich, pokrywali ignorancję Łwoją niesłychanem lekceważeniem uznanych form, ja ko burżuazyjnego przesądu. Sąd rewolucyjny miał od? rzucić wszystkie formy strupieszające i wytworzyć nowe, rewolucyjne. Na czym jednak polegały one? W czym się zawierały?

Wszystkie sprawy polskie prowadził w czrezwy* czajce gubernjalnej nasz rodak, niejaki Kowalski, „to? warzysz Edward”, podobno ex-dentysta z Łodzi, czło? wiek o niesłychanie niskim poziomie umysłowym, a je? dnocześnie wyróżniający się nawet wśród szlachetnego grona swoich kolegów — mściwością, okrucieństwem bezwzględnością. Głęboko osadzone oczy jego, trochę skośne, wświdrowywały się" w więźnia, jak w ofiarę. Z każdego ruchu jego, z każdego słowa, tryskała zawzię* ta rozkosz dręczenia. Jasny blondyn, mały, suchy, tępo⁵ głowy, brzydki, dyszał nienawiścią i okrucieństwem. Do pomocy mu przydano czarnego, jak noc, towarzysza Głuzkina, o niewiadomem, chyba gruzińskim, pocho- dzeniu. Mógł być przedtem jakimś subjektem w drugo* izędnym sklepie, a może nieznacznym kancelistą w pro- wincjonalnym urzędzie. Włażliwej, spokojnej mściwo? ći Kowalskiego, Głuzkin przeciwstawiał swą południo*

Wą ekspansję. Zwłaszcza wtedy, gdy był pod wpływem kokainy, wprost tańczył naokoło ofiary, ciskał się na nią, krzyczał, stukał, groził, straszył. Dosadny humor więzienny znalazł dla tej nieodłącznej pary niestęcha, — nie trafne określenie. Nazywano ich: „wesz i pchła”.

Z nimi właśnie miałem wątpliwą przyjemność spotkania się, gdy przed ich jowiszowe oblicza stawiano mnie niejednokrotnie. Na nich obserwowałem metody śledcze czczwyczajki, lecz doświadczenie moje w tym względzie nie jest zbyt jednostronne. Z długich opisów badań, wysłuchanych w celi od innych więźniów, łatwo mogłem wywnioskować, że odchylenia były tu nie? znaczne, zależne od specyficznych cech temperamentu sędziów i od stopnia ich rozwoju umysłowego. Lecz w ogólnych zarysach system był ten sam.

Sędziowie znali jeden tylko sposób wydobywania prawdy. Był nim terror. Ograniczeni, nieudbni, słabo orientujący się, o mózgach, przyćmionych narkozą i ży? ciem zbyt rozpasaniem, nie byli oni zdolni tak oplatać ofiary, tak jej zaszachować, aby straciła grunt pod no? gami i zgubiła się w wykrętach. Wszelkie próby ujawnienia w badaniach sprytu i dowcipu były tak niedźwie* azio nieudolne, iż mogły wywołać tylko uśmiech. Pier* wotność ich przekraczała granice naiwności. Używano więc środków innych, łatwiejszych. Zastraszano bada» nego, aby pod wpływem strachu sam przyznał się do winy i innych zaczął „sypać”. Chodziło głównie o dru* gie, a nie o pierwsze. Przyznanie się do winy było oboj* jętne. Aby więźnia zlikwidować, nie trzeba było udo* wadniać mu winy. Wystarczało podejrzenie. Prosty fakt znajdowania się w czczwyczajce był wystarczają* cym dowodem przeciw oskarżonemu. Jeżeli w później* szych obwieszczeniach publicznych o rozstrzelaniu ofia* ry nie dawało się ściśle uzasadnić wyroku, określić zbrodni, pisano — „kontrewolucjonista”, — i to wystar-

czało. W obwieszczeniach tych, triumfalnie rozgłasza-
nych, można było wyczytać takie motywy: „iRozstrzela-
ny został X. — były kamienicznik, albo Y. — obywatel
ziemski". Są to rzeczy zupełnie autentyczne.

Nie o wykrycie prawdy chodziło. Przecież w czre»
zwyczajce oficjalnie głoszona była zasada, iż w imię do-
bra rewolucji lepiej stu niewinnych rozstrzelać, niż je-
dnego winnego z rąk wypuścić. Zasada ta, przeprowa-
dzana niezłomnie, znacznie ułatwiała pracę panom sę-
dziom.

Obywatel, skoro trafił do czrezwyczajki, czy to
z pewną podstawą, czy przez nieporozumienie, czy na
skutek mściwej denuncjacji niezadowolonego ze zbyt
skromnych napiwków stróża, — już był traktowany ja-
ko zbrodniarz, i nakaz udowodnienia mu winy należał do
przesądów. Jedną nogą stał już w grobie. Badania mia-
ły na celu wyrwanie od więźnia zeznań o innych, wy-
krycia nowych kontrrewolucjonistów, wyłowienia no-
wej zdobyczy. Uważano zaś, że otworzyć więźniowi
usta można tylko strachem zwierzęcym, doprowadze-
niem go do nieobliczalności moralnej na tle stanu pa-
s nicznego. Cały repertuar polegał na malowaniu grozy
nieuniknionej śmierci, na grożeniu rewolwerem, na
krzykach, obelgach. Tylko na to wysilić się mógł rewo-
lucyjny system dochodzenia.

Obchodzenie się było przytem zupełnie bezceremo-
njalne. Wyzwiska i obelgi doprowadzano do perfekcji.
Sypały się one bez końca, jako normalna reakcja na
każdą odpowiedź badanego:

— Znasz Iksa?

— Nie znam...

— Łżesz, taki, a taki...

Krzyk — i barwne, czysto rosyjskie, sześciopiętro*
we epitety.

—• Znasz Igreka?

— Znam.
— Gdzie go poznałeś?
— Nie pamiętam. Znam go od lat dwudziestu.
•— Mów, gdzie go poznałeś!
— Nie pamiętam. Było to przed 20 laty.
— Nie pamiętasz?... (syk triumfu)... Ha, wy wszyscy nie pamiętacie!... (śmiech pseudo-szatański)... Wy, podli!...

Nowa wielopiętrowa improwizacja.

— Byłeś członkiem P. O. W.? (Polska Organizacja Wojskowa).

— Nie byłem. Nic o niej nie wiem.

— Łesz, taki synu! Mamy tu czarno na białym, że jesteś członkiem Polskiego Komitetu Wykonawczego. Powiesz, psu bracie, że to nieprawda?

— Prawda. Ale to zupełnie co innego. To jawna organizacja kulturalno-oświatowa.

— Będziesz tu nam się dłużej wykręcał? (pogróżka rewolwerem). My wiemy, że to wszystko to samo. Polska kontrrewolucja! Mów, kto był członkiem P. O. W.?

— Nie wiem.

Nowe igraszki rewolwerem. Nowe pomysły na temat o przodkach.

A czasem takie pytanie, „przebiegłe” rzucone z niechęcią. Szczyt pomysłowości śledczej:

— Do kogo pisałeś list 20 stycznia roku bieżącego?

— A skądże ja mogę pamiętać? Pisuję dużo listów. To było pół roku temu.

— On znowu nie pamięta!... i t. d. w tym samym stylu.

W tym inteligentnym tonie prowadzone było całe badanie. Gdyby można było zachować jego stenogram, byłby on niecenzuralnym wprowadzeniem, lecz doskonałym świadectwem ubóstwa duchowego i umysłowego no-

wych Władców, od których decyzji czy fantazji zależało życie ludzkie.

Pogróżki, krzyki, terroryzowanie — były pierwszym etapem akcji śledczej. — Drugim były tortury.

O torturach fizycznych niewiele mogę powiedzieć. Odbywały się one w tajnych zakamarkach, w jakichś lochach, czy podziemiach, dokąd wzrok ludzki nie sięgał. Sam unikałem ich zgrozy. Wiadomo było zresztą, że ci nieszczęśliwi, którzy torturom byli poddani, nie wychodzili żywcem z czrezwyczajki.

Że jednak były stosowane, wiedzieliśmy napewno. Krążyły o tem straszne legendy. Nieraz jakiś dozorca więzienny zdradził półgębkiem tę straszną stronę życia czrezwyczajki. Nieraz pogróżki sędziów lub komendiantów odsłaniały rąbek tajemnicy. A potem, gdy bolszewicy w popłochu panicznym uciekli z Kijowa przed armją Denikina, kiedy władze śledcze wynajdywały w podziemiach czrezwyczajek setki trupów, każdy mógł obserwować ślady okrucieństw najpotworniejszych. Wyrwane piersi u dziewcząt, skalpowane głowy, pręgi skóry wycięte — to wszystko zadokumentowały akty śledcze i zdjęcia fotograficzne. Dziesiątki tysięcy mieszkańców Kijowa zwiedzały te miejsca straszliwe, od których zapach trupi szedł daleko wszcz. Szukano tam najbliższych, aby oddać ich ziemi, gdyż wydawanie trupów za czasów bolszewickich nie było dozwolone. I wszyscy mogą złożyć świadectwo prawdzie.

Ja zaś mówię tylko o rzeczach, które sam widziałem. Widziałem bicie, wprost nieludzkie. Jeden z towarzyszów moich próbował powiesić się w celi na drucie od lampki elektrycznej. Skorzystał z chwili, kiedyśmy wszyscy byli na przechadzce, on zaś, pod pozorem niezdrówia, pozostał sam. Gdlyśmy wrócili, zerwaliśmy go

z tej improwizowanej szubienicy. Żył jeszcze. Wtedy dozorczy wyciągnęli go z celi, zamknęli drzwi i na oczach naszych zaczęli go tłuc niemiłosiernie. Kopali go nogami, tratowali go, tłukli kolbą. Trudno było wyobrazić sobie, że człowiek może wytrzymać takie ciosy. Cały krwią był zboczony. Potem wrzucono go z powrotem, aby się z ran wylizał.

Gdy już zaskrzepeły te rany, rozstrzelano go pewnej nocy. Wyprowadzanie go z celi było wprost straszne. Ten sam człowiek, który miał odwagę życie sobie odbierać, nie mógł znieść prowadzenia go na śmierć. Krzyżczył, wył, stawiał opór, tarzał się po ziemi, kąsał dozorców, drapał ich. Bito go znowu i wzięto przemocą. Lecz długo jeszcze słychać było przeciągłe, wciąż oddalające się wycie człowieka, który nie chciał przyjąć śmierci. Wreszcie zamilkło w oddali, lecz wspomnienie tego przeraźliwego ryku budziło potem ze snu niejednego.

Katusze moralne stosowane były w całej rozciągłości. Jednym ze sposobów było symulowanie egzekucji. Pamiętam, na przykład, jednego z kolegów z celi, niejakiego Bimana, Polaka, agronoma, człowieka zupełnie inteligentnego, który jednak łatwo poddawał się nastrojowi strachu. Bał się śmierci panicznie. Tylko o niej myślał. Nerwy jego były w stanie ciągłego napięcia. Zupełnie nie spał po nocach i nam spać nie dawał, gdyż musiał wtedy rozmawiać z kimkolwiek, zwierzać się z cierpień swoich.

Trzymano go w czrezwyczajnie kilka miesięcy, przetrzucano z celi do celi, nigdy nie udawało mu się „odpocząć” w Łukjanówce. Może taki odpoczynek uspokoiłby go trochę, lecz czujne oko czrezwyczajki widziało rozpaczliwość jego nastroju. Grano na nim.

Oskarżenie polegało na tem, iż Biman miał dawnego kolegę, niebezpiecznego monarchistę rosyjskiego, który jakoby konspirował się w Kijowie i gwałtownie

był przez czczwyczajkę poszukiwany. Myślano, że Biman go wykryje. Była to rzecz beznadziejna, gdyż oskarżony istotnie nie znał miejsca pobytu osoby poszukiwanej, aczkolwiek znajomości nie negował. Nie wierzono mu. Próbowano go zastraszyć, zmusić do ze^ znań, skoro jednak normalne sposoby nie pomagały, użyto więcej radykalnych środków.

Wprowadzono go w nocy na rozstrzelanie. I znów dziwne. On, który się śmierci bał najwięcej, szedł spokojnie. Lecz szedł, jak umarły. Zdawało się, że jest w tej dziedzinie, gdzie się już życie skończyło, lecz śmierć jeszcze nie przyszła.

Już go opłakali w duszy towarzysze niedoli. Lecz oto po jakiejś godzinie (trudno zresztą czas określić), wprowadzono go z powrotem do celi. Był, jak człowiek śmiertelnie pijany. Zwalił się na podłogę i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz dopiero mógł opowiedzieć swoją straszną przygodę. Był w jakimś olbrzymim podziemiu, czy lochu, półoświetlonym, na którego ścianach widział liczne ślady krwi i mózgu ludzkiego. Rozebrano go do naga, postawiono pod ścianę, a grupa żołnierzy skierowała ku niemu lufy karabinów. Męcząco chciał przypomnieć sobie, wielu było tych żołnierzy, lecz nie mógł. Komendant dyrygował rozprawą. Liczył do trzech, lada chwila miał wydać rozkaz strzelania. W ostatniej chwili zwracał się do Bimana z rozkazem wydania przyjaciela. Obiecywał życie. Gdy to nie skutkowało, powtarzał parokrotnie tę samą procedurę.

Wreszcie kazał widocznie odprowadzić więźnia z powrotem. Jak się to stało i kiedy, tego Birnan także nie mógł sobie przypomnieć.

W dwa tygodnie potem Biman został rozstrzelany, — już naprawdę. Ostatnie myśli jego i rozmowy by*:

ły o matce, tylko o matce. Jeśli te słowa trafią kiedy do jej rąk, niech to dla niej będzie smutną pociechą po jej cDynaku.

A oto inny sposób moralnego znęcania się nad więźniem. Wieczór był zły. Dokonano poważnego przegrupowania więźniów. Wiedzieliśmy, że noc będzie **Łlraszna**.

Piastowałem zaszczytną, na najdemokratyczniej* szych wyborach opartą, godność starosty w celi. Godność ta dawała władzę wprost nieograniczoną w szczupłym zakresie życia więziennego. Starosta bezapelacyj* nie rozdzielał stawę, wywalczał możliwość posyłam do sklepu, wyznaczał miejsca w celi przy układaniu się do snu, określał, kto ma myć podłogę i wynosić „para* szę”. Poszanowanie władzy, jako własnej, było olbrzymie.

Urząd starosty, obok obowiązków, dawał mu jeden niesłychany przywilej. On bowiem przynosił dwa razy dziennie herbatę i raz obiad z kuchni, która znajdowała się w drugim końcu długiego kurytarza. Szło się we dwóch. Ten drugi zmieniał się codziennie, lecz starosta chodził zawsze. Była to olbrzymia przyjemność przejść się, wprawdzie pod eskortą, przez cały kurytarz, rzucie spojrzenie przez kratę w drzwiach do wszystkich cel. z zupełnie nieuzasadnioną radością zobaczyć jakąś twarz znajomą, i wreszcie w kuchni odpocząć duszą ni widok ludzi z tamtego świata, rozdawczyń jadła, ofiar* nych sióstr miłosierdzia.

W ten wieczór, o którym mówię, ciężko mi było pa* trzeć na celę czwartą i piątą. Były wypełnione po brze* gi. Wiedziałem dobrze, że ludzie ci nic dożyją jutra. I oni to wiedzieli. Siedzieli, leżeli w pozach bezwład* nych, w głuchym milczeniu.

Noc była straszna istotnie.

Kiedy nazajutrz szedłem znowu po ranną herbatą, spojrzałem na cele. Pierwsza z nich była pusta. W następnej nie było także nikogo, oprócz jednego starszego człowieka, o rysach semickich, który przylgnął twarzą i rękami do kraty i nieprzytomnie patrzył przed siebie. Nie widział nic i nikogo. Próbowałem kiwnąć mu głową, aby go zbudzić z osłupienia. Nie zauważył nawet. Chciałem się zatrzymać przed nim, lecz mocna dłoń dozorca odepchnęła mnie naprzód.

Zrozumiałem, że człowiek ten już nie jest przytomny. W ciągu jednej nocy przeżył siebie tysiąc razy. Patrzy teraz z za grobu. Bo oto w te długie godziny kadziesiąt razy przychodzili „oni”, prowadzili na śmierć jednego po drugim. Wiedział, że i po niego przyjdą. Wreszcie pozostał sam, ostatni. Czekał długo. I oto dzień przyszedł, a o nim zapomniano. I żyje?...

Nie było to zapomnienie. Był to jeden ze sposobów torturowania moralnego, który wylał się w pomysłowych głowach odnowicieli świata.

Nie wiem, co się stało z nim potem. Nie dowiedziałem się nawet jego nazwiska. Lecz pewien jestem, że i na niego przyszła kolej, że znowu przeżył długie godziny bladego strachu, i wreszcie poszedł tam, dokąd poszło tylu innych.

Nie nad wszystkimi jednak znęcano się jednako w czrezwyczajce. Było to obyczajem, który nabrał cech niepisanego, lecz żelaznego prawa, iż najwięcej, najdotkliwiej gnębiono ludzi słabszych... Tych, którym brakło mocy fizycznej, czy moralnej... Sadystyczne właściwości działaczy czrezwyczajek znajdowały tu wyraz dosadny. Im podatniejsza była ofiara, im boleśniej odczuwała cierpienie, im żywiej reagowała na ból, tem

chętniej i częściej się nad nią pastwiono. I tu zresztą, jak w tylu innych stronach osobliwego żywota komunistycznej inkwizycji, splatała się niesamowita mściwość i zwyrodniałość z momentami przemyślanej, wyspekulowanej celowości. Skoro chodzi o to, aby za wszelką cenę, chociażby kosztem tortur najsroższych, otworzyć ofierze usta, — najłatwiejszego rezultatu można było się spodziewać tam, gdzie więzień strachu i cierpień nie znosił.

I jedyną samoobroną było w czrezwyczajce męstwo, lub przynajmniej pozorowanie odwagi i siły. Jeżeli więzień nie drżał na widok lufy rewolwerowej, stał spokojnie pod gradem obelg i pogróżek, jeżeli zdołał tak opanować wolę własną, aby przenikliwy wzrok sędziów nie dostrzegł przycajanego strachu i zawrotnej myśli o kompromisie, — dawano mu względny spokój. Traktowano go, jako beznadziejnego.

Małe, nikczemne dusze sędziów nie znały nawet tej żądzzy złamania ludzi silnych, która, bądź co bądź, ma w sobie urok rzeczy trudnych. Szli oni po linii najmniejszego oporu. Większą satysfakcję robiło im dobijanie ludzi słabych, bezwolnych.

Gdy więc ofiara poddawała się, gdy ten jej nastrój podatności natrafiał na czujne spojrzenia sędziowskie, — zaczynała się dla niej równia pochyła, prowadząca bezpośrednio, przez okres moralnych katuszy, wprost ku torturom.

Wszyscy w czrezwyczajce doskonale wiedzieli, iż jedynie niezależne i pełne pogardy zachowanie się wobec katów uratować może od rzeczy najgorszych. Powtarzali to jedni drugim. Mnożyły się przykłady. A jednak nie wszyscy umieli opanować siebie. Pod wpływem zwierzęcego strachu niejeden poniżał się wielokrotnie, aby za swoje poniżenia na stokroć gorsze zło się narażać. U wielu w tak ciężkich warunkach egzystencji wię*

ziennej woła tępiała, płowiała godność osobista, a pro? sta nawet rachuba przestawała dyktować czyny.

Z zasady nie należało o nic prosić ani sędziów, ani komendantów, ani dozorców. Zgóry bowiem było wiadomo, że prośba nie będzie spełniona. Im usilniej więzień będzie się domagał jakiegokolwiek ulgi, tem pewniej jej nie otrzyma. Było to zupełnie jasne. Trzeba, aby więźniom było jak najgorzej. Trzeba zrobić wszystko, aby stoczyć ich na dno nędzy ludzkiej. W imię zemsty nad istotnymi kontrrewolucjonistami, i w celu zastraszenia reszty społeczeństwa...

Ileż to razy rozlegały się prośby o przeniesienie z celi ciemnej do jasnej! Doświadczęsi więźniowie srodze wymyślali słabszym kolegom za tak niedostojne zachowanie się. Nie pomagają! Prośby, rzecz prosta, nie skutkowały.

Pamiętam jednego z towarzyszków więziennych, byłego oficera wojsk rosyjskich, oskarżonego o udział w armji hetmańskiej. Trzymano go w ciemnej celi parę miesięcy, potem przetranszlokowano do Łukjanówki. stamtąd po paru dniach przywieziono z powrotem i wrzucono do drugiej celi. I znów siedział tam długie tygodnie. Nie siedział raczej, a leżał, gdyż zapadł ciężko na płuca. Organizm jego absolutnie nic wytrzymał wale braku powietrza i zaduchu więziennego. Nie mógł prawie jeść i nił nam w oczach. Otaczaliśmy go wszyscy troskliwą opieką, lecz cóż mogliśmy zrobić?

I codzien powtarzała się ta sama scena. Gdy komendant obchodził cele, nasz chory błagał, aby przeprowadzono go do szpitala przy więzieniu Łukjanowskim, albo przynajmniej do jasnej celi. Codzien komendant notował sobie tę prośbę, codzien obiecywał ją spełnić. Wiedzieliśmy dobrze, że jest to tylko droczenie się z człowiekiem słabym, obezwładnionym chorobą. Że im usilniej będzie prosił, tem mniej ma szans na

tranzlokację. Toteż codzień namawialiśmy go, aby przestał prosić, aby się nie poniżał napróżno. Uznawał, że mamy rację, obiecywał, że już się nie odezwie ani słowem, lecz każde zjawienie się komendanta budziło w nim promyk ślepej, głupiej, bezsensownej nadziei. A komendanci, wiedzieli, że jest on w ich władzy. Ba¹ⁿ

wili się nim, jak kot myszą.
Nie wiem, jaki spotkał go koniec. W jeden z tych ciężkich wieczorów, kiedy odbywały się masowe przegrupowania przed egzekucją zbiorową, wyprowadzono go z mojej celi. Dokąd,—nie wiem. Może do czwartej, lub piątej, a może dano mu trochę radości celi jasnej, aby nie zgasł przedwcześnie, aby można było nim dłużej jeszcze się bawić i doprowadzić do takiego stanu, kiedy człowiek traci nie tylko wolę, lecz i resztki ho-

noru.

Ten sam rezultat spotykał wszelkie inne prośby. Było, na przykład, zwyczajem wielu domagać się przyspieszenia sprawy, a przynajmniej badania. Zwłaszcza ci, którzy istotnie stali poza nawiasem walk politycznych, a trafiali do czrezwyczajki przez nieporozumienie lub z powodu fałszywej denuncjacji, zwykle łudzili się na? iwnie, iż prawda musi zatriumfować. Myśleli, iż w czre> zwyczajce, jak w sądzie, chodzi o wykrycie prawdy. Często nie wiedzieli, z jakiego powodu wrzucono ich do więzienia, o co ich oskarżają, i marzyli, aby jaknajprędzej udało się wykryć to głupie nieporozumienie. iRa# dziliśmy im, aby siedzieli cicho, aby nie przyspieszali, losu, aby cierpliwie oczekiwali rozwiązań. Czyż można było jednak przekonać ludzi, którzy mieli jeszcze złu* **dzenia?** Nie mieściło się im w głowie, aby mógł być rozstrzelany człowiek niewinny. Nie mogli pojąć, że sędziowie czrezwyczajki nie będą się liczyli z ich zeznaniami, że nie uwzględnią żadnych próśb o zbadanie świadków najwiarogodniejszych. **Dopiero** doświadcze--¹

nie własne ich uczyło. Zdobywali je kosztem wielu cierpień moralnych i tysiąca upokorzeń.

W systemie badań nie było żadnego ładu. Czasem więźnia ciągnano do sędziego dzień w dzień, lub noc w noc. Czasem, jak rzucono go do celi, tak gnił tam tygo_s dniami i miesiącami, przez nikogo nie badany, nie wiedząc, o co chodzi. Czasem prowadzono go na śmierć, nie wyjaśnwszy mu nawet treści oskarżenia i nie zba*dawszy ani razu.

I im więcej dopraszał się więzień, aby dopuszczono go do stawiennictwa przed oblicze kapłanów sprostytuowanej Temidy bolszewickiej, tem mniej miał szans na rychłe rozpatrzenie sprawy. Skoro prosili, był matką* jętem podatnym. Czekano, aż skruszeje.

To samo było ze wszystkimi drobiazgami życia więziennego. Gdy chodziło o głupi kubał wody, lub o prawo wyniesienia cuchnącej „paraszy”, można było raz tylko z tem się zwrócić do dyżurującego dozorca. Trzeba było to robić w formie najobojętniejszej, aby ważykość prośby nie wywołała normalnego odruchu odmo«wy. Jeżeli zawodziło pierwsze zwrócenie się, mogła więzienna brać prosić i prosić, nawoływać i nawoływać, lecz już o skutku nie mogło być mowy. A zato jaki dobór epitetów sypał się na natrętną celę! Jak niesłychane w pomysłowości obelgi!

O nic nie prosić, zacisnąć zęby, czekać w milczeniu i spokojnie, nie drgnąć przy badaniach, zachować całkowitą równowagę przy terroryzowaniu, — oto był jedy*ny istotny sposób względnego polepszenia swego losu, zabezpieczający od wielu poniżeń i męczarni. Ludzie panujący nad sobą, ludzie, silni fizycznie i nerwowo, na mniej cierpień byli narażeni, niż słabi, chorzy, bezwolni.

Gdy grożono rewolwerem jednemu z towarzysów moich, szesnastoletniemu skautowi, który cały czas za<

chowywał pewność siebie i humor, — i gdy sędzia Głuzkin z palcem na cynglu i w podnieceniu wściekłem li«czył: raz, dwa, —• malec zuchowato skończył: „trzy!”. I cóż? Pan Głuzkin zapytał zdziwiony: „Ty się nie boisz?” — i odłożył rewolwer.

Czasem nawet objawy brutalności w życiu więziennym schodziły płazem. Oto siedział wraz ze mną zażywny, mocny, jak tur, a łagodny, jak dziecko, szlachcic z Litwy. Zwaliśmy go „tatuńciem”. Wtrąciło go podobno do celi niefortunne zainteresowanie się jakąś piękną, która okazała się agentką czerezwyczajki i za denuncjowała „tatuńcia” za obelżywe o komunistach wyrazy. „Tatuńcio” mówił o niej „podła baba”, ale śnać nie żywił w dobroci serca swego zbytniej urazy, bo oto kiedyś, w czasie przechadzki, zauważyłem radośnie uśmiechniętą jego twarz i wesołe kiwanie głową: zobaczył w oknie czerezwyczajki ową panią, rozmawiającą z sędziami czy jakimiś komisarzami. „Patrz pan, to ta podła baba”, — wołał wesoło, jak gdyby ciesząc się, że jakąś wreszcie twarz znajomą zobaczył.

Lecz raz nie wytrzymał „tatuńcio”. Wpakowano nam do celi bolszewika«marynarza, olbrzymiego chłopca o typie wyraźnie zbrodnicy, który musiał grubo przeszkrobać. Zapanowała nieznośna atmosfera w celi. Dotychczas nastrój był zgodny. Wszyscy byli „kontrewolucjonistami”, lub przynajmniej niewinnymi obywatelami, którzy we własnym gronie więziennym nie potrzebowali ukrywać swych uczuć względem bolszewików. A tu każą nam obcować z żywym bolszewikiem, który właściwie powinien nie z nami siedzieć, lecz być po tamtej stronie i raczej mordować nas. Marynarzowi też nie dogadzało towarzystwo. To też, gdy do kraty podszedł komendant, nowy więzień zaczął wykrzykiwać na głos: „Towarzyszu komendancie! To Bóg wie co! Ja — komunista! Ja — bolszewik! Ja sam wielu car?

skich oficerów w morzu utopiłem! Jak możecie trzymać mnie razem z tą kontrrewolucyjną kanalją!"

Tego „tatuńciowi" było za wiele. „Kanalja" wytrąciła go z równowagi. Podeszedł ciężkim krokiem do marynarza i na oczach komendanta tak mu w pysk zajechał, że chłop zwał się, jak kłoda, na ziemię. Wtedy „tatuńcio" spokojnie trącił go nogą i zrobił mu nową propozycję: „Wstawaj, bo ręka mnie jeszcze świerzbi, a leżących nigdy nie biłem". Marynarz wołał leżeć.

Natychmiast zabrano marynarza z niegościnniej celi. Oczekiwaliśmy, co będzie dalej. Sądziliśmy, że może źle się skończyć. A jednak sprawa nie miała żadnych konsekwencji. „Tatuńcio" zaimponował odwagą i siłą, to też nie zaczepiano go wcale. Wszystko poszło w zapomnienie.

Takie wypadki, jak wrzucenie do celi kontrrewolucyjnej zawodowego komunisty, rzadkością bywały w czczewczajce. Dla komunistów istniała cela osobna, gdzie nic nie mąciło tak doborowego towarzystwa. W innych celach nastrój był zgodnie „kontrrewolucyjny". Bywały wprawdzie próby wpychania szpiegów do celi. Jednak intuicja więźniów wykrywała ich nic z wólcznie i paraliżowała skutek zaszczytnych ich trudów.

Trudno powiedzieć, aby szczerść w celi sięgała ¿byt daleko. O sprawie własnej zasadniczo się nie mówiło, chyba szeptem komuś zaufanemu, znanemu z wolności. Przemilczano fakty, nazwiska. Decydowała tu, może podświadomie, obawa, że ktokolwiek z towarzyszków, nie chcąc bynajmniej „sypać", może ulec, — pod wpływem strachu, lub bólu fizycznego. Lepiej było mieć się na baczności.

Wielomówność w sprawie własnej cechowała jedynie ludzi, którzy trafiali do czczewczajki na skutek

mściwej denuncjacji, bez żadnych podstaw. Ci lubili głośno i szeroko opisywać przyczyny zemsty, szkalo>wać denuncjatora i t. d. Słuchano ich z początku obo=jętnie, potem ze znudzeniem, wreszcie ze wstrętem. Były to jednak wyjątki.

Ogół milczał o sobie. Pytano nowego więźnia, o co jest oskarżony. Wystarczyła normalna odpowiedź: „kontrrewolucja”. Już nikt nie wchodził w szczegóły.

Zupełnie swobodnie rozmawiano natomiast o rze czach ogólnych, zwłaszcza lubowano się w soczystym piętnowaniu komunistów i ich tworu — czczewyczejki. Nie krępowano się w tem absolutnie. Jeżeli często tra* fiali do czczewyczejki ludzie, którzy przedtem, na wól* ności, nie zdążyli sobie wyrobić o tej instytucji dosta? tecznego pojęcia, to i oni rychło zarażali się nastrojem ogólnym. Piekło więzienne nazbyt doskwierało. Można stwierdzić kategorycznie, że czczewyczejka wyrabiała i szkoliła zdecydowanych „kontrrewolucjonistów”. Je» żeli udawało im się wyrwać na wolność, nie było juz wątpliwości, że będą zaciętymi wrogami bolszewików

Zwłaszcza na umysłach prostych proces ten zaryso* wywał się najwyraźniej. Siadywałem z włościanami, którzy wchodziłi do czczewyczejki w przeświadczeniu, iż komuniści istotnie zaprowadzą nowy ład, wolny, bezpański. Przyjmowali własne trafienie do celi fatalistycz? nie, jako przykre zdarzenie losów, które rychło rozwieje się, jak mgła. Toć nie są oni „burżujami”, ani wrogami ludu!

W miarę jednak, jak narastało doświadczenie więzienne, w miarę jak zdziwione oczy coraz wyraźniej przyglądały się strasznym metodom walki bolszewiczej, — rosła w nich nienawiść do nowych ciemieżycie? li, i ginęły raz na zawsze złudzenia i wiara w komunistyczne frazesy. Rodził się zdecydowany, nieprzejednany wróg władzy sowieckiej.

Był pośród nas taki chłopek ze wsi podmiejskiej, C., niepiśmienny, kuty na cztery nogi. Handlował mlekiem, które przywoził do wygłodzonego miasta i sprzedawał po cenach coraz zawrotniejszych. Co się miał skarżyć na ustrój?

Znaleziono bombę w jego stajence. Ktoś ją podrzucił, — to było jasne. Wystarczyło raz spojrzeć na kmiotka, aby podejrzenie „bombizmu” w stosunku do niego stało się śmieszne. Przyjął swój los spokojnie. Nie miał wątpliwości, że go wypuszczą i troszczył się tylko, czy żona da sobie tymczasem rady z mlecznym interesem, tak świetnie prosperującym.

Na nas, towarzyszków niedoli, na nas, kontrrewokujonistów, patrzył długo z podejrzeniem, widząc w nas niebezpiecznych buntowników, burzycieli cudownego ładu, który umożliwia sprzedawanie mleka po cenie, jaka tylko do głowy przyjdzie. Ładu, — przy którym on, kmiotek niepiśmienny, hoduje wieprze dla własnego użytku, objada się za czterech, aby powetować sobie wszystko, czego nie dojadł w ciągu całego żywota.

Lecz oto stopniowo, w miarę jak mijały dni i tygodnie strasznej nędzy i udręki więziennej, chłopek zaczął zbliżać się do nas. Zrozumiał, że niepodobni jesteśmy do tego wyobrażenia, które sobie wytworzył. A jednocześnie rosła nienawiść głucha do czczycielki, do wszystkich jej funkcjonariuszów. I już po paru tygodniach, może po wewnętrznym mozolnym trudzie, nastąpiło gruntowne przeobrażenie. Był już „nasz”. Stał się jednym z lepszych kolegów więziennych, i jeclnocześnie zaciekłym wrogiem katów naszych.

Dusza jego nie znała połowiczności. I wiedziałem siapewno, że po wyjściu z czczycielki (o ile z niej wyjdzie), zanieśie do wioski swojej czarną wieść o wła

dzy sowieckiej, i nienawiść do niej będzie krzewił. I na; pewno przysparzać będzie wojowników oddziałom po» wstańczym, tak licznie rozkrzewionym na Ukrainie.

Głucha nienawiść do czczewyczajki narastała w du, szach więźniów, jak lawina, i opanowywała umysły nie tylko z powodu owych strasznych nocy przedśmiert* nych, nie tylko z powodu okrucieństw i zdziczenia władz więziennych. Istniał tu jeszcze jeden motyw, nde mniej ważny, głęboko dotkliwy. Każdego, kto przekro» czyi próg czczewyczajki, przeraźliwie zdumiewało sy^ stematyczne poniżanie godności ludzkiej więźnia, wde* ptywanie jej w błoto. Ujawniało się to w każdym szcze; góle życia więziennego, w każdym odezwaniu się ko^ mendanta czy sędziego. Traktowano nas gorzej, niż się psy traktuje. Chciano zabić w więźniu świadomość, że jest człowiekiem. Jeżeli rzucano nam strawę, to tylko poto, abyśmy przedwcześnie nie zdechli. Jeżeli się do nas zwracano, to tonem tak wysokiej pogardy i lekce; ważenia, aby wyolbrzymić przedział między nami, — bydłem kontrrewolucyjnym, a nimi — panami życia i śmierci. Wykluczone było zwrócenie się dozorczy do więźnia z czemkolwiek, w sprawie najbłahszej, bez za» okrąglenia zdania dobozem niesłychanych epitetów. Szturchańce przy każdym przejściu przez kurytarz, wy* drwiwanie każdego ruchu i gestu, rozmyślne, — dla za- bawy, — odmawianie rzeczy najniewinniejszych, — by; ły to zjawiska każdego dnia, każdej godziny, każdej chwili. Dozorcy rozkoszowali się widokiem cierpień ludzkich. Były one ostrą przyprawą ich bytu, wkracza» jącego treścią swoją w granice obłędu. Jeżeli zwłaszcza czuli w więźniu „burżuja", kogoś, kto mógł przedtem stać wyżej od nich, — wszystko jedno, dzięki bogactwu, czy siłą intelektu,—mściwa radość skazywania na brudj-

ną ponieważ upajała ich. I znów ułatwiała więźniom sytuację chyba wytrzymałość nerwów. Ofiara, która za» chowywała przy moralnym znęcaniu się nad nią spokój i całkowitą obojętność, rychło przestawała bawić... Rzucano się na inne, podatniejsze, więcej ciekawe...

Pod względem psiego traktowania więźniów dozorczy, czyli ci ludzie, z którymi stykaliśmy się najczęściej, skutecznie rywalizowali między sobą. Wnikliwszy wzrok mógł jednak dostrzec, że nie wszyscy z pośród nich kierowali się jednakowymi pobudkami.

Niektórzy działali z amatorstwa. Był taki chłop rosły, przystojny, tęfi, któremu widocznie satysfakcję sprawiało gnębić i mordować. Uchodził za specjalistę przy wyciąganiu z celi skazańców. Ożywiał się, gdy mu ofiara opór stawiała. Był dumny z zadraśnień i ukąszeń, w tej bezspornej walce otrzymanych. Protest i opór prowadzonego na śmierć doprowadzały go do szalu upojenia. Śmiał się wtedy radośnie, oczy mu błyszczały. Wiedział, że zwycięży, on, uzbrojony od stóp do głów, on, za którym stały rezerwy w postaci przyczajonych do skoku żołdaków. Zwycięży bezbronnego, którego stać jeno na krzyk rozpaczny, którego jedyną, śmieszoną obroną są zęby i paznogie. Wiedział, że władną swą dłońią, cudze wprawdzie spełniając rozkazy, przecinać wątłą, łączącą skazańca z życiem. Było prawidłem, że on właśnie, poza kolejką, musiał dyżurować w te czarne noce, gdy na śmierć szły całe korowody.

Był urodzonym mordercą. Mógł być zbrodniarzem, lub katem. A że ustrój sowiecki uprawnił jego instynkty, że je przyodział w płachty ideowe, — już był mu wierny do grobu. I nawet po za godzinami urzędowych uśmiercań starał się ujawnić więźniom wszystkie motyły złości swoje. Z miną wesołą, radośnie roześmianą, czynił wszystko, aby utrudnić żywot tym, których przesze przedśmiertne tak skrętnie chwycił i wyczuwał.

On, tępy z zawodu i z urodzenia, wytworzył sobie pewien surogat ideologii, będący uproszczeniem haseł sowieckich. Z bólem w głosie zapytał go kiedyś jeden z uwięzionych:

— Co ja ci złego zrobiłem?

Odpowiedział:

— Nie ty, to twoja matka, albo twój brat, albo kum. Nasienie sobacze! Jesteś burżuj. Śmierć tobie.

Ów „burżuj” — był nauczycielem gimnazjalnym.

Na przeciwległym biegunie stali ci z pośród dozorców, którzy nie byli psychologicznie związani z jej nastrojami, i jedynie dzięki niesłychanym stosunkom osobistym zdołali „zadekować się” w czczewyczejce, aby uniknąć nieprzyjemności frontu. Idąc do czczewyczejki, w prostocie duchowej nie zdawali sobie dokładnie sprawy z charakteru tej instytucji. Coś w rodzaju więzienia... Coś, co ratuje od niebezpiecznych eksperymentów wojennych...

Lecz przywdzianie szat dozorczy czczewyczejki musiało być dla nich rubikonem. Czczewyczejka najbezpieczniejsza chyba była dla własnych agentów. Kto przekroczył jej progi, musiał służyć nie tylko wiernie, lecz i żarliwie. Musiał przejąć się dluhem ogólnym i zabić w sobie wszystko, co było w nim własne, co może w głębi duszy krzyczało nieraz przeciw okrucieństwu i zbrodniom.

Tu działał już strach. Patrząc codzień na bezlitośne znęcanie się nad więźniami, widząc co noc nieprzerwane szeregi rozpraw ostatecznych, ci nowicjusze przejęci byli zgrozą. Wszczepiano w nich przeświadczenie najgłębsze, iż czeka ich taki sam los, a może jeszcze potworniejszy, jeżeli zdradzą. A zdradą było tu wszystko. Nie tylko bezprawne ulżenie więźniowi, lecz i niedostawczość okrucieństwa.

Okno komendanta czyhało nad dozorcami, oni zaś

czuli nieprzerwanie to twarde, jak stal, spojrzenie. I mu⁵ sieli dostrajać się do ogólnego tonu. A nawet silili się zaimponować komendantom bezwzględnością swoją. Czasami w ich spojrzeniach zatlił jakiś płomycek, świadczący o tym, iż to, co czynią, z musu i ze strachu czynią. Rychło i ten płomyk zagasał. Pożerała go powszechna, wszechwładna gangrena czczwyczajki.

I głównie dlatego nie było żadnego ratunku na najbezwstydniejsze szykany bezpośrednich władców naszych. Wyższą nad nimi instancją był komendant i jego zastępcy. Czyż można jednak było się skarżyć? Próbowali to nieraz czynić mniej zorientowani więźniowie. > I każda taka skarga była przysługą tylko dla zaskarżonego. Dozorca o tyle był ceniony, o ile nienawidzili go więźniowie. Był natychmiast wyróżniany i podnosił się w hierarchji komunistycznej. Dozorca, na którego nikt się nie skarżył, uchodził za niepewnego, i lada chwila groziło mu samemu straszne niebezpieczeństwo.

To też niejednokrotnie dozorca manifestował bezwzględność swoją i okrucieństwo, gdy widział zbli⁶żanie się komendanta, gdy przypuszczał, że jest obserwowany.

Tak przeżerała czczwyczajka dusze najniższych agentów swoich. Na miazgę mełła ich własną myśl i własne uczucie. Czyniła z nich powolne i bezwolne narzędzie. A nawet prawo powrotu, prawo wyrwania się z tej matni, nie istniało dla nich.

Gospodarzami więzienia, wykonawcami wyroków, dłonią karzącą, posłuszną woli sędziów czczwyczajki, byli komendant i jego zastępcy, w liczbie czterech lub pięciu. Komendant zresztą był równouprawnionym członkiem czczwyczajki i uczestniczył w ferowaniu wyroków.

Ci — to byli ludzie zupełnie pewni. Ostrożnie ich wybierano. Wybierano takich, którzy niczego się nie zleką, a którzy tylekroć krwią ludzką się zbryzgali, iż nowe uśmiercania już żadnej im nie sprawią różnicy. Były to figury półinteligentne, półświadome programów rewolucyjnych, zawsze okrutne i bezwzględne. Wiem, że jeden był przedtem fryzjerem, jeden marynarzem, innych zawód i pochodzenie nie dawały się ściślej określić. Pod względem formy regulowania spraw dzielili się na dwie kategorie. Jedni, z p. komendantem Ugarowem na czele, spełniali swoje funkcje z zimną precyzją rzeźników. Zachowywali bezwzględny spokój, i jeno ze złych płomyków w ich rozbieganych oczach z kurczowych zaciśnień warg, widać było całą bezdeń kryjącego się w ich duszach okrucieństwa. Inni miewali miny rozwydrzonych żrebaków, którym wszystko wolno. Znęcanie się nad ofiarą było dla nich raczej wesołą pohulanką, niż świadomem załatwieniem porachunków zemsty zbiorowej. W krwi się pławili, jak w winie. Jękami upajali się, jak tonem rozlewnym cygańskiego romansu w czasie orgji rozpasanej.

Widywaliśmy ich codzień przy obchodzie porannym, kiedy sprawdzali obecność więźniów. Widywaliśmy ich w nocy przy wyprowadzaniu na rozstrzelanie. Widywaliśmy w każdej chwili, gdy jakiegokolwiek zdarzenie miało miejsce w celi. I zawsze zjawienie się ich w kurytarzu mroziło dusze.

A ponad nimi stało tajemnicze kolegium czczycieli, rezydujące na piętrze gubernatorskiego domu. Z kolegium tern, jako całością, nie stykaliśmy się nigdy. Widywaliśmy tylko poszczególnych jego członków, panów sędziów, tych, w których ręce trafialiśmy. Piszący te słowa był w stosunkach osobistych tylko z pp.

Głuzkinem i Kowalskim, od chwili aresztowania, aż do chwili ostatniego badania. Nawet prezes czczewyczajki nigdy nie schodził na dół i nie pokazywał się więźniom. Nie obchodziły go ich twarze, ani ich żywot. Byli dla niego numerami, likwidowanymi stopniowo.

W skład kolegium, oprócz prezesa, sędziów i komendanta, wchodzili także jacyś komisarze, bez określonych zajęć, niewiadomo skąd brani i przez kogo powoływani. Wszelkie nominacje odbywały się w tajemnicy. Skład kolegium był zakonspirowany, tworzył jakąś mafję, nieznaną nawet wybitnym działaczom sowieckim. Była czczewyczajka... Była widoma jej głowa, bezwzględnie nieodpowiedzialna przed nikim, — prezes czczewyczajki... To wystarczało. Ustrój wewnętrzny i skład osobisty nikogo nie powinny były obchodzić, i nikt nie miał prawa w to wglądać.

Sądziło kolegium. Lecz nie widziało nawet oskarżonego. Obrona, zeznania osobiste, były stanowczo wykluczone. Oskarżony pozbawiany był nawet prawa powołania świadków i składania innych dowodów niewinności swojej. To wszystko wyrzucono z procedury, jako wytwór zgniłej cywilizacji kapitalistycznej.

Wyroki ferowano jedynie na podstawie referatu sędziego, który prowadził dochodzenie. W nim przeto koncentrowały się atrybucje wszystkich organów sądownictwa: policyjnych, śledczych, prokuratorskich i sędziowskich. Podstawą referatu mogły być tajne donosy, urywkowe, nawpół sprotokółowane zeznania badanego, oraz to wszystko, co mogła i chciała dołączyć fantazja sędziego. W takich warunkach jest zupełnie jasne, iż on jeden był istotnym panem życia i śmierci. On jeden decydował o wszystkim. Inni — udzielali jedynie sankcji zbiorowej jego orzeczeniom.

Nawet moment oddania sprawy do kolegium niewiadomy był oskarżonym. Nie wiedział nikt, czy śledz-

two już jest zamknięte, czy zbliżyła się chwila ostatnich rozstrzygnięć. Nikt nie miał pojęcia, jaki materiał oskarżający jest w ręku sędziów. Mogli oni operować materiałem najoczywiściej fałszywym, którego skompromitowanie i obalenie byłoby nieraz rzeczą najłatwiejszą. Lecz zaznajamianie oskarżonego z tym materiałem należało także do przesądów. Nieraz prowadzono człowieka na śmierć, nie zbadawszy go nawet ani razu. Znałem takich, którzy ginęli, nie mając absolutnie pojęcia, na czym polega oskarżenie.

Na każdym posiedzeniu kolegium likwidowano po kilkadziesiąt spraw. Można wyobrazić sobie, jak sumiennie wglądano w ich istotę. Sędzia^referent stylem telegraficznym wygłaszał prawdopodobne nazwisko oskarżonego, osnovę oskarżenia, wniosek o wyroku. Kolegium wniosek zatwierdzało.

Tak funkcjonowała sprawiedliwość komunistyczna. Wyzwolona z tych pęt, które nałożyła na nią kultura współczesna, stoczyła się ku najgłębszym mrokom średniowiecza.

W tern pohańbieniu sądu kryła się największa potworność bolszewickiej czczwyczajki. Czczwyczajka była jednocześne więzieniem i sądem. System wężienny był doprowadzeniem do wyrafinowanej doskonałości ciemnych stron więziennictwa, istniejących w wielu ustrojach społecznych. Różnice zachodziły tu raczej ilościowe, niż jakościowe. Jako sąd jednak, czczwyczajka nie da się z niczem porównać. Jest ona najbrudniejszą plamą na organizmie sowieckim, świadczącą dobitnie o jego gangrenie.

O tem, jak się wykonywały egzekucje, krążyły wśród więźniów i w mieście najpotworniejsze legendy. Kto sprawdzić może, ile było w nich prawdy? W każdym

razie wykryte po wyjściu bolszewików ciaia ofiar świadczą, że w większości wypadków nie było mowy o takim wykonaniu wyroku, które nazywa się rozstrzelaniem. Rozbierano ofiarę do naga, — i nieraz nazajutrz po wyprowadzeniu więźnia z celi widzieliśmy dozorców, paradujących w jego obuwiu, lub ubraniu. Potem walono z rewolweru w skroń, lub ciemię. Widocznie w pozycji leżącej.

Kto wykonywał wyroki? Sądząc z wielu danych, nie było w tem ogólnego pravidła. Byli w czrezwyczejce Chińczycy, którzy żadnej innej funkcji nie pełnili. Oni też spełniali funkcje najpotworniejsze, kiedy w grę wchodziły tortury.

Wiadomo też było, że i komendanci nieraz własnoręcznie zabijali skazańców. Każdy z nich mógł się wylewać itymować dziesiątkami i więcej własnoręcznie zgładzonych.

Lecz był w czrezwyczejkach jeszcze jeden typ kata. Kobietyssadystki, lubujące się w znęcaniu i zabijaniu. I dziwnie charakterystyczny jest fakt, że nie było *nu* gdzie czrezwyczejki, w której skład nie wchodziłaby jedna przynajmniej taka kobieta. Najczęściej były młode i ładne. W czrezwyczejce kijowskiej było ich dwie: „towarzysz” Roza, pełna blondynka o dobrodusznym wyrazie twarzy, i „towarzysz” Mura.

Te zwyrodniałe potwory ludzkie należały do niezbędnych części składowych skomplikowanego aparatu czrezwyczejki. A władza ich widocznie była olbrzymia. Opowiadano o paru wypadkach, kiedy Roza, pod wpływem jakiejś fantazji, „ułaskawiała” ofiary w ostatniej chwili. I wyrok jej był silniejszy od wyroku kolegum.

Dziwną różnorodność ludzi i typów ludzkich przedstawiała każda cela czrezwyczejki. Kogo tam nie było?

„Kontrewolucjoniści” polscy, księża, monarchiści rosyjscy, petlurowcy, zielonowcy, poprostu kamienicznicy, dezercerzy z armji czerwonej, mieńszewicy, prawi i lewicy, eserzy, borofbiści, profesorowie uniwersytetu, drobni sklepikarze, działacze kulturalnooświatowi, chłopi, adwokaci, studenci, robotnicy... Jakiś Żydek półwarjat, oskarżony o to, że jakoby krzyczał na targu: „precz z Żydami!”... Jakiś pijaczyna, ex-inteligent, którego wyrzuciła z mieszkania sprytna gospodyni za pomocą denuncjacji do czrezwyczajki... Jakiś listonosz, który łamał głowę napróżno, dlaczego wpakowano go do celi... Paru zuchów skautów, oskarżonych o szpiegostwo polskie, a świecących wszystkim przykładem hartu i męstwa... Chłopekspaskarz, obarczony zarzutem przechowywania bomb... Sklepikarz, wpakowany do więzienia przez kochanka żony, na nieszczęście partyjnego komunistę... Jakiś przedstawiciel złotej młodzieży rosyjskiej O masce degenerata... Niefortunny uciekinier z niewoli polskiej, który iwa! się ku swoim, trafił po drodze do niewoli ukraińskoipetlurowskiej, zwiął skutecznie i stamtąd, — aby trafić do bolszewickiej czrezwyczajki... I tylu, tylu innych, których nazwiska często poszły w niepamięć, lecz twarze trwają w sercu, jak drogie wspomnienie... I tylu, tylu, którym nie było sądzone wyrwać się z drapieźnych pazurów czrezwyczajki... Którzy już nie żyją...

Ta różnorodność pochodzenia, wykształcenia, poziomu umysłowego w niczem nie psuła harmonji i łączności. Wszyscy byli tu równi. Jeżeli udawało się bolszewikom gdziekolwiek zaszcześcić komunę, to chyba tu, w ciemnych celach czrezwyczajki...

Byli tu nadzy ludzie... Oderwani od środowiska, od otoczenia, od całego kompleksu wypadkowych skojarzeń... Wszystkich łączyło jedno: jednakowość zagładzenia życia, lub śmierci.

Rzeczy napływowe, wynikające ze złudnych konsekwencji stanowisk społecznych, znikwały. Rozwiewały się w mgłach przedśmiertnych oczekiwań.

W obliczu śmierci, wobec nieodzownych jej nakazów, mało było wszystkiego. Każdy był równorzędną ofiarą, każdy stawał jednakowo wobec nieodwołalnych przeznaczeń.

To wszystko, co ludzi różni na świecie, co rozgranicza zakres ich wpływów i utęsknień, wkraczało w dziedzinę nieistotności. Wobec siły obcej, fatalnej, jak grom, nieodwołalnej, jak fal wezbranie, — odcienie psychologiczne jednostek stawały się czemś drobnym, ni-
knącym w bezmiarze zbiorowych przeżyć...

Zbliżanie się wzajemne więźniów odbywało się tu na podstawie cech zupełnie innych, niż tam, na wolności. Ani stopień wykształcenia, ani pochodzenie nie wpływały na dobór naturalny. Nieświadomie docierało się do istoty człowieka, niezachwaszczone i wszystkim, co stanowi namuł życia społecznego. Życie w celi było tak nieskomplikowane, a jednocześnie tak pełne bezpo-
średniego tragizmu, iż dusza ludzka obnażała się w całej prawdzie własnej. Stała w obliczu codziennego oczekiwania śmierci, a odebrane jej było wszystko, co pięknem życia, lub życia rozgwarem zagłusza i usypia myśl o śmierci. I istotna kultura ludzka, nienarzucona konwenansami ani obyczajami, ujawniała się tu niezawodnie.

Sieć bolszewicka, rzucona w głębinę morza ludzkiego, wyciągnęła stamtąd szereg jednostek, obcych sobie, dalekich, i kazała im wytworzyć więzienną społeczność. Gdyby ktokolwiek zebrał razem te wszystkie jednostki tam, na wolności, napewno nie mogłyby one porozumieć się ze sobą i zbliżyć do siebie. Tu — żyć razem musiały, i żyły...

I gdyby tam, na wolności, dokonano porównawczej oceny moralnej tych samych ludzi, napewno wypadła"

by ona inaczej, niż tu, w ciemnej celi. I z całą pewnością twierdzić można, iż ta druga ocena, oparta na obserwacji życia więziennego, byłaby stokroć słuszniejsza. Malały tu cnoty, uznane na wolności. Wyrastały natomiast charaktery, szare napozór i bezbarwne w innych warunkach. Ludzie chodzili bez masek, bez koturnów,, bez szminki, bez szat. Byli nadzy...

Serdeczniejsze nici nawiązywały się nieraz między ludźmi, którzy tam, w życiu społecznym, nigdyby do siebie zbliżyć się nie mogli. Przeszliby obok siebie, nie widząc się wzajemnie. Zawzięty monarchista rosyjski mógł się tu zbliżyć do mieńszewika, lub esera, profesor mógł się zaprzyjaźnić ze sklepikarzem. Wiek także nie odgrywał żadnej roli. Chłopak szesnastoletni mógł być w najlepszej komitywie ze starcem, a w stosunku tym nie było bynajmniej cech ojcowskich. Przecież jednako bliscy byli śmierci. I przecież suma doświadczeń życiowych, stanowiąca mądrość starca, tu na nic nie była przydatna. Odkładana była na stronę, jak niepotrzebna część garderoby. Człowiek, który miał „lekką rękę” i umiejętnie rozcinał zapomocą sznura i rzemyka butelkę, aby zrobić z niej szklanekę, był tu więcej wart społecznie, niż autor najpoważniejszych traktatów filozoficznych.

Zbliżanie się człowieka do człowieka w zupełnie innej płaszczyźnie, niż w życiu normalnym, obserwowałem stale, zarówno na innych, jak i na sobie. Najbliższym mi kolegą więziennym był młody chłop z guberni kijowskiej, niejaki Heraszczenko. Należał do bandy powstańczej Zielonego. Odcięty w Trypolu od swoich, poszedł do Kijowa, by łatwiej się zgubić tu, gdzie nikt go nie znał. Znalazł jakąś pracę i oczekiwał momentu, kiedy będzie mógł z powrotem się przekraść. Niestety chciał, że jakiś kupiec z Trypola spotkał go na ulicy i zadenuncjował.

Heraszezenko nie zaprzeczał niczemu. Nie próbował nawet wypierać się winy. I wiedział, że czeka go śmierć niechybna.

Bandy powstańcze ukraińskie były tak znienawidzone przez władze sowieckie, gdyż istotnie uniemożliwiały im opanowanie prowincji, — iż o zlitowaniu nie mogło być mowy. Heraszczenko wiedział, że zginie. Jedynym promykiem nadziei była czasem myśl, że jego ubóstwiany ataman Zełenyj zdobędzie Kijów i wyrwoli nas wszystkim.

Z tym człowiekiem kochaliśmy się, jak bracia. Wspomnienie o nim, o jego przeczystych, dziecięco naiwnych oczach, o jego duszy prostej, a niezłomnej, o długich godzinach nocnych, spędzanych z nim na pogawędce, — należą do najlepszych w życiu.

W atamana swego wierzył bezgranicznie. Bolszewikami gardził nieskończenie.

— Byle z nimi skończyć! — mówił, i wierzył głęboko, że chwila ta się zbliża.

— A cóż potem? — pytałem. — Czy dojdziecie do ładu z kimkolwiek? Czy nie będziecie musieli bić się z Denikinem? A może z Polską?

— To nie ważne — odpowiadał. — może i z wami Polakami, powojujemy. Ale jak ludzi z ludźmi. A to co? Psy!

— Nie, ja się nie dam postawić pod ścianę! — opowiadał mi kiedyś. — Wyrwę się, będę uciekał! Niech mnie zabijają. Ale nie tak, żebym stał spokojnie, kiedy oni będą do mnie celowali.

Istotnie taki był jego koniec. Odesłano go któregoś dnia do Łukjanówki, lecz nie dano mu tam odpocząć. W kilka dni potem, razem z całą grupą innych więźniów, prowadzono go z powrotem do czerezwyczajki. Nie było żadnej wątpliwości, że to już koniec.

W pewnej chwili, gdy smutny orszak mijał jedna

z przecznic, Heraszczenko przerwał się ruchem. gwałtownym przez kordon i zaczął uciekać. Beznadziejność ucieczki była zbyt widoczna. Dopędziły go kule karabiniarskie nowe. Padł martwy, ale padł tak, jak postanowił. I na chwilę jedną poczuł się wolny przed śmiercią.

Na tle różnobarwnej masy więziennej wydzielają się stale pewne zasadnicze grupy. Zmieniały się fazy walki sowieckiej. Jej furja zwracała się po kolei przeciw określonym prądom i ruchom.

Był okres walki z monarchistami rosyjskimi. Okres walki z „kadetami”. Były miesiące, poświęcone tępieniu ruchu ukraińskiego.

W maju 1919 rozpoczęła się seria spraw polskich i trwała przez parę miesięcy. Wystarczało być polakiem, aby stać się kandydatem na więźnia czerezwyczajki. Nie grały tu już roli przekonania polityczne jednostki. Sama polskość była synonimem kontrrewolucyjności. Organy egzekucyjne władz komunistycznych stały się powolnym narzędziem najcyniczniejszego nacjonalizmu i polakożerstwa.

Ludność polska w Kijowie wynosiła około 7%.: A jednak ilość więźniów Polaków w kontrrewolucyjnych celach czerezwyczajki przekraczała połowę ogólnej cyfry.

Wszystko to razem stanowiło olbrzymią sprawę „polskiego szpiegostwa”. Agenci czerezwyczajki wyczuwali istnienie jakiejś organizacji, nie mogli jednak jej zdemaskować, i zwracali ostrze swych mieczów przeciw całej kolonii polskiej. I każdy Polak, niezależnie od swego stanowiska i przekonań, mógł paść ofiarą. Dlatego chwymano tych, a nie tamtych, było to rzeczą ślepego przypadku.

Wyrobnicy obok ziemian, dzieci obok starców, socjaliści obok reakcjonistów, stłoczeni byli razem do

wspólnych skazańczych szeregów. I nie było tam żadnej między nimi różnicy. Przepaść społeczna czy ideologiczna zanikała. W oczach komisarzy bolszewickich wszyscy byli jednakowo znienawidzeni i tępieni. Gasły różnice wobec tej cechy zasadniczej, wszystkim wspólnej, — że byli Polakami.

Jedną z pierwszych ofiar tej zapamiętałej mściwości bolszewickiej, której jadowite żądło skierowane było przeciw wszystkiemu, co polskie, stał się nieoceniony prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi, adwokat przysięgły Jordan Pereświat-Soltan. Był może najpopularniejszą jednostką wśród społeczeństwa polskiego na kresach. Człowiek bezpartyjny, lecz o poglądach szeroko liberalnych, — niósł swoją pomoc i radę wszędzie, gdzie mógł być potrzebny. Był, jak kresowy rycerz bez skazy, wznoszący wysoko sztandar moralny polskości. Zawdzięczała mu niesłychanie dużo kultura polska na kresach; polskie szkolnictwo miało w nim niezmordowanego opiekuna; dla młodzieży, **Którą** kocnał nad wszystko, był dobrym ojcem. Wywierał wpływ niesłychanie doniosły na całe otoczenie, gdyż sama obecność jego nakazywała wszystkim utrzymać się na pewnym poziomie moralnym. Dawało się to zwłaszcza odczuwać w korporacji adwokackiej, której był długoletnim prezesem. Kierowana przez niego, licząca się bezwzględnie z jego niezawodnym instynktem etycznym adwokatura polska w Kijowie, w olbrzymiej większości swojej, wierna była idei obrończej i nakazowi czystości moralnej.

W swoim czasie był żarliwym obrońcą politycznym. Bezinteresownie, pchany nakazem wewnętrznym, stał we wszystkich poważniejszych procesach i niejednego rewolucjonistę wyrwał z rąk żandarmerji carskiej

Sam zarzut kontrrewolucyjności był w stosunku do

niego absurdem. Oskarżono go nadomiar o szpiegostwo. Było coś potwornego w tern oskarżeniu. Każdy, kto go znał, każdy nawet, kto go raz zobaczył, wiedział odrazu, że niema takiej idei, niema takich hasel, dla których Sołtan mógłby być szpiegiem. Mógł jawnie walczyć mógł napastnikom stawić czoło bez drgnienia, lecz ni*dy nie potrafił by wprząc duszy swojej, jasnej jak wo*da kryniczna, do szpiegowskich metod.

Wiedzieli o tem dobrze sędziowie ezrezwyczajki. Sformułowanie oskarżenia wywołane było chęcią pogJę«bienia jego cierpień moralnych, wdeptania w błoto, po?niżenia jego godności osobistej.

Wiele sprężyn poruszano, aby ratować Sołtana! Sam Manuilski udawał, że się stara o niego. Niejeden z tych, których Sołtan przed laty z matni żandarmskiej wycią*gnął, świadczył za nim. To wszystko nie pomogło. Po długim wysiadywaniu w więzieniu, wyprowadzono go pewnej nocy i dłoń zbrodnicza zadała mu ostatni cios. Aby mu jeszcze więcej cierpień przysporzyć, poprowa*dzono go na śmierć razem z zięciem, młodym chłopcem o jasnych oczach i dziwnie czystej duszy. A zostawiał w czrezwyczajce syna, piętnastoletniego chłopca, które*mu potem dopiero, po śmierci ojca, udało się wyjść na wolność.

Sołtan zginął dlatego, że był tak drogi całemu spo*łeczeństwu polskiemu na Ukrainie. A wiedziano o tem w czrezwyczajce. Mszczono się nie na nim, lecz na wszystkich Polakach. Cios, przeciw niemu wymierzony, miał uderzyć w pierś zbiorową narodu. Śmierć jego by«ła jedną ze straszliwszych kart martyrologji polskiej, której księga nie jest jeszcze zamknięta.

Więzień ezrezwyczajki docierał dna nędzy ludzkiej. Musiał ujrzeć całą głębię ludzkiego zła i okrucieństwa.

I jakby po to, aby nie zamarła w nim wiara w człowieka, dane mu było jednocześnie wielkie szczęście oglądania w ciemnych celach całego bezmiaru ludzkiej miłości i poświęcenia.

Piastunkami tej miłości, jasnym promykiem w nieprzebranej nocy, były siostry miłosierdzia Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, które zstępowały do celi, aby rozświetlić skazańcom dusze.

Może nie wiedziały nawet, jak są nam wszystkim drogie. A jednak codzienne zbliżanie się ich do kraty było dla nas powiewem innego, prawdziwego życia. Reagowali na to wszyscy jednakowo. Wszyscy, od inteligenta do prostego chłopa, jednakowo serdecznym, z awszy płynącym uśmiechem witali je, jednakowy smutek w oczach mieli przy pożegnaniu.

Misja ich oficjalna redukowała się do rozdawania obiadu. Pozwolono im jednak, w braku innej obsługi lekarskiej, raz na dzień obchodzić cele, sprawdzać, czy niema chorych, i dawać lekarstwa. Pomoc polegała inogła co najwyżej na daniu proszka aspiryny lub piramidonu, lub też nieskomplikowanych kropeł. Odbywało się to przy czujnej asyście dozorców, którzy pilnowali bacznie, aby siostra miłosierdzia nie rozpoczęła rozmowy z więźniami, i nie wręczyła, lub przyjęła jakiegoś listu.

Codzień był ktoś chory. Jeżeli nawet wszyscy byli zdrowi, musiał ktokolwiek chorego udawać. Taka była niepisana umowa. Trzeba było pozorować chorobę, aby siostra mogła wejść do celi.

To były chwile dziwnie jasne. Te parę minut, kiedy był między nami ktoś ze świata, nieskończenie dobry i nieskończenie współczujący, wlewały w nas otuchę i dziwnym rozrzewnieniem wypełniały nam serca.

Schylając się nad rzeczywiście lub pozornie chorym, badając mu puls, udzielając lekarstw, siostra miłosier?

dzia zdołała zawsze rzucić jakieś słowo pociechy, czasem szepnąć pół słowa o najbliższych, czasem nawet nieznacznie rzucić trochę grosza, tak potrzebnego na chleb i tytoń.

Wystarczał zresztą sam fakt, że były. Sam ich widok był świętem. I każdy wiedział, że potem, w domu, każdą z nich otoczą nasi najbliżsi, aby dowiedzieć się, czy jeszcze żyjemy, jak wyglądamy.

Te spotkania sióstr z krewnymi musiały się odbywać z zachowaniem niesłychanych środków ostrożności, aby nie mogły być wyśledzone przez szpiegów czrezwyczajki, których oko baczne wciąż było na siostry skierowane.

Praca sióstr w więzieniu wymagała niesłychanego poświęcenia. Wchodziły do tej jaskini, gdzie nerwy nie mogły wytrzymać samego widoku ludzkiej mordęgi. Coł dzienny widok śmierci, obcowanie z tymi, którzy jutro żyć nie będą, przyglądanie się nieustannemu poniżaniu człowieka i znęcaniu się nad nim, i stale, jątrzące uczucie własnej bezsilności,—taka była atmosfera ich pracy.

Znęcano się i nad niemi. Musiały nieraz wysłuchiwać najgorszych obelg z powodu dostrzeżonej dobroci dla więźnia. Ścigano je pogrózkami, i czuły, że w każdej chwili może zmienić się ich rola. Że i za niemi zamknąć się mogą wrota czrezwyczajki, a pomsta bolszewicka na nie się zwali.

Praca ich była, jak taniec wśród mieczów. Musiały udawać uprzejmość dla zbirów, aby uzyskać prawo wstąpienia do ciemnej celi. Musiały oddawać im najlepsze kąski z tych rzeczy, które raz na tydzień dla więźniów były przynoszone.

Nieraz opadały im ręce. Zdawało im się, że ich pomoc jest tak błaha, tak nieistotna... A jednak trwały na stanowisku. Jedna z nich, młoda suchotnica, z wysoce kulturalnej rodziny rosyjskiej, ledwo ruszać się mo

gła. Paliła ją gorączka. Lekarze, krewni zabraniali jej nie tylko do czrezwyczejki chodzić, lecz nawet z łóżka wstawać. A jednak nie przerywała swej pracy ofiarnej.

Znała i kochała każdego więźnia. A gdy rano, wchodząc do celi, dostrzegała lukę, gdy widziała, że ko>> goś już niema, — z jej rozszerzonych źrenic widać było, że go że?na wspomnieniem.

I zdaje mi się, że nigdzie dziś na świecie nie zdoła nikt dotrzeć tak blisko obu biegunów duszy ludzkiej, jak w bolszewickiej czrezwyczejce. Ujrzeć bezdeń zła i szczyt najwyższy miłosierdzia, obydwaj kresy lu3z> kiej możliwości.

W szarych warunkach życia codziennego zacierają się te bieguny. Niwelują się dusze. Ludzie są połowicz< ni. Półzi, lub pół*dobrzy. O czarnych charakterach, bez żadnych świateł, i o duszach czystych, bez cieni, wiemy dziś tylko z klasycznej tragedii. Dla nas, współczesnych, nie są to żywi ludzie. Jakieś abstrakcje, sche* maty.

Dopiero tu, za kratą czrezwyczejki, dane jest więź* niowi rzadkie doświadczenie bezpośredniego zetknięcia się ze złem samem w sobie, i z dobrem, bez żadnych ograniczeń. Tylu ludzi życiem przepłacało to doświad* czenie! Tym, którzy wyszli żywi, zapadła głęboko w du* sze bolesna świadomość, iż system bolszewicki w meto> dach swoich tak przeorał wartości, iż zło stało się pra? wem, a dobro beznrawiem. Dobro musiało się czaić i ukrywać, aby wykraść dla ofiar okrucieństwa ludzkie* go nikłe okruchy światła.

Warszawa, Grudzień 1920.

